Nr. 2. — Poznań, Niedziela 14-go Stycznia 1900. — Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu już z odnoszeniem tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy" nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.



Ojciec święty, Leon XIII błogosławi.

„Miłościwe Lato."

Leonowi XIII

na uroczystość

„Miłościwego Lata“.

Wśród zmartwień, smutku, wśród utrapienia,
Którem Cię zewsząd otacza świat,
Ojcze nasz Święty, w wieńcu cierpienia
Zakwitł Ci dzisiaj pociechy kwiat!
Bo gdy świat, pełen grzechu i złości,
Wojnę zaciętą wytoczył Ci,
Pan Bóg cudownie, w dowód miłości,
Przedłuża życia Twojego dni!

Ale daremne nieprzyjacieli
Twoich wysiłki i próżne są,
Którzyby Kościół Chrystusa chcieli
Zburzyć, z nim razem i władzę Twą.
Niebaczni! — chyba nie wiedzą wcale,
Że Kościół Święty sam Chrystus Pan
Na wiekotrwałej zbudował skale,
Że On silniejszy od piekieł bram!

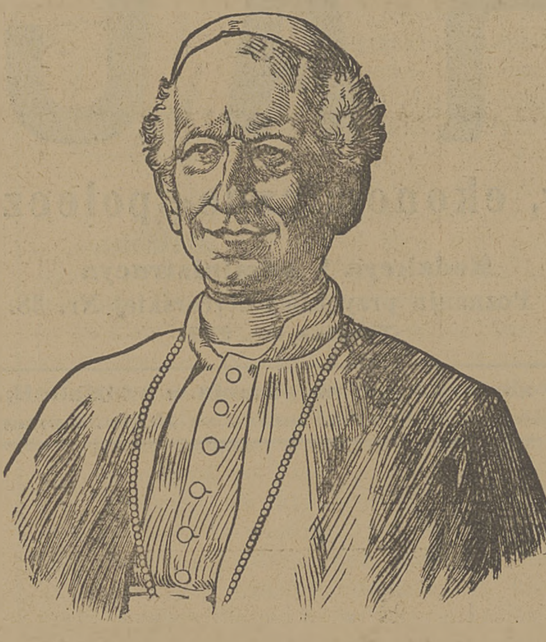
Więc chociaż wichry dziś straszne wyją,
Chociaż się wzmaga niewiary noc —
Burza się sroży — bałwany biją —
Aby pochłonąć Piotrową Łódź —
Bezpieczną ona wśród nawałności,
Zdradnych przepaści i zgubnych kier;
Bo nie zaszkodzą jej ludzkie złości,
Bo Twoja ręka dzierzy jej ster!

Bo ten, co niegdyś na morskiej fali
Podał Piotrowi wszechmocną dłoń —
I Łódź niechybnie Jego ocali!
Jej Sternikowi dziś wieńczy skroń!
A nieprzyjaciół nędzne zamiary
W niwecz obróci: — znikną, jak dym —
Odniosą tryumf: Potęga Wiary!
Leon Trzynasty — Odwieczny Rzym!

L. N.

„Miłościwe Lato.“

Odpust Roku św., czyli Jubileusz wielki lub „Miłościwe Lato“ bywa z ustanowienia Papieża Pawła II, nadawany co 25 lat na lata ćwierć wieku kończące. Ażeby go pozyskać, trzeba najdokładniej wypełnić wszystkie warunki, podane w bulli, która ten odpust ustanawia, a która bywa ogłaszana w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego roku poprzedzającego bezpośrednio Miłościwe Lato. Zatem i w r. z., w dniu 11 maja, jako uroczystości Wniebowstąpienia Pańskiego, udał się Ojciec św. w towarzystwie swego majordomus, JE. ks. Franciszka della Volpe, maestro di camera ks. prałata Oktawiana Cagiano de Azevedo, ks. Arcybiskupa Józefa M. Constantini, tajnego jałmużnika, ks. biskupa Wilhelma Pifferi, swego zakrystyana, oraz swego dworu — do swej prywatnej sali tronowej, gdzie w asystencyi prefekta ceremonii papieskich, ks. prałata Franciszka Riggi, przyjął arcybiskupa Wawrzyńca Tasserini, vicekamerlinga S. R. K., Mikołaja Marini, substytuta Breviów i Abbreviatora Kuryi.



Papież Leon XIII.

Substytut Breviów zbliżywszy się do tronu papieskiego, przemówił słów kilka, wyrażających jego radość z powodu, że może ogłosić Jubileusz, który niewątpliwie do zbawienia dusz się przyczyni, poczem Ojciec św. wręczył mu bullę „Properante“ i udzielił pozwolenia na jej ogłoszenie. Bullę tę wręczono abbrewiatorowi kuryi: poczem Ojciec św., przypuściwszy wszystkich obecnych do ucałowania stopy swej i udzieliwszy im apostolskiego błogosławieństwa, co-

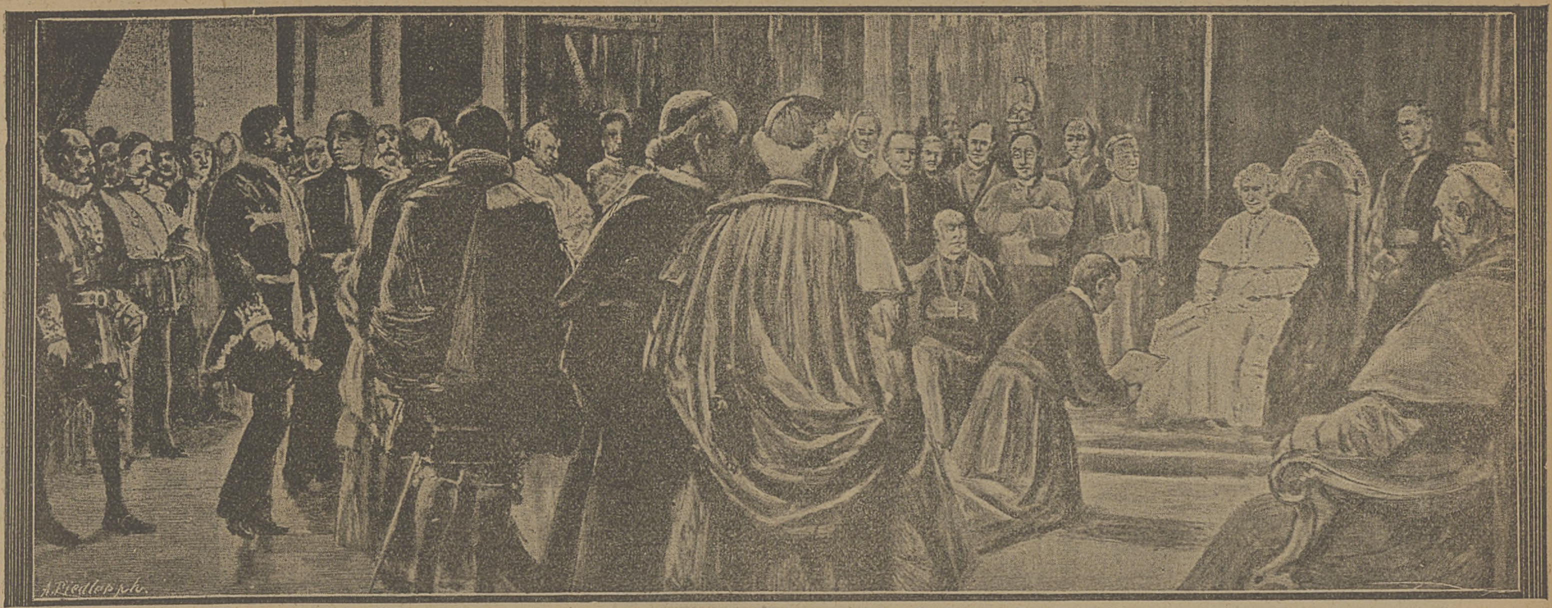


Mieczysław Kardynał Ledóchowski.

fnął się do swych apartamentów prywatnych, wszyscy zaś obecni udali się w uroczystej procesyi do przedsionka watykańskiej bazyliki, gdzie w obecności kapituły św. Piotra nastąpiło uroczyste odczytanie bulli, poczem odgłos dzwonów przez kwadrans ceremonię zakończył.

Kursorowie papiescy udali się do arcybazyliki lateraneńskiej, do bazyliki liberyańskiej (s. Maria Maggiore) i do bazyliki św. Pawła za murami, by tam również bullę ogłosić. Samo rozpoczęcie Lata Miłościwego naznaczono na dzień 24 grudnia r. z., którego dokonał Ojciec św. osobiście, a zapowiedział je odgłos dzwonów rzymskich, dający się słyszeć w trzy dni przed wigilią Bożego Narodzenia.

Otwarciem bezpośredniem jubileuszu było odmurowanie Bramy św. W ten sposób nazywają się drzwi ostatnie po prawej ręce wchodzącego do kościoła w 4 bazylikach rzymskich: św. Piotra na Watykanie, którą widzimy na illustracyi, św. Jana Laterańskiego, św. Maria Maggiore i św. Pawła za murami. Są one zawsze zamurowane, a otwierane bywają tylko na czas Roku św., poczem na znak jego zamknięcia bywają znowu zamurowane. Stoją one w ten sposób zamknięte lat 75, ostatni bowiem wielki Jubileusz był w Rzymie w uroczysty sposób rozpoczęty jeszcze przez Papieża Leona XII w r. 1824 d. 24/12; jubileuszu w r. 1850 nie mógł Pius IX otworzyć, będąc w Gaecie, a Rok św. 1875 obchodzono bez zewnętrznych uroczystości. — I obecnie ceremonia nie miała cechy zupełnie publicznej, gdyż zabór Rzymu od r. 1870 ciągle jeszcze trwający na to nie zezwala. To też portyk bazyliki św. Piotra zawsze otwarty, został obecnie oszalowany i wstęp doń tylko za biletami dozwolony. W niedzielę, dnia 24 grudnia, zaraz w pierwszych godzinach południowych, kler świecki i zakonny rzymski zebrał się w Watykanie. Skoro Ojciec św., Kardynałowie, Biskupi i inni dygnitarze ubrali się w szaty pontyfikalne, Papież zaintonował w kaplicy sykstyńskiej *Veni Creator*, poczem w uroczystej procesyi, po schodach królewskich, koło posągu Konstantyna W. udał się do portyku bazyliki, gdzie zeszedł z „sedia gestatoria“ i zajął tron ad hoc wzniesiony. Oddawszy świecę płonącą, którą dotychczas trzymał w ręku, przyjął z rąk kardynała Penitencyarza złoty młotek, artystycznie wykonany, ofiarę kleru włoskiego, którym uderzył trzy razy w mur bramy św., za każdym



Hołd składany Papieżowi przez dostojników kościelnych i świeckich oraz dyplomatów.

razem silniej, śpiewając przytem 3 następujące wiersze, na które chór śpiewaków odpowiadał:

V. Aperite mihi portas iustitiae.

R. Ingressus in eas confitebor Domino.

V. Introibo in domum tuam, Domine!

R. Adorabo ad templum sanctum tuum in timore tuo.

V. Aperite portas, quoniam nobiscum Dominus.

R. Qui fecit virtutem in Israel.

(To znaczy po polsku.)

V. Otwórzcie mi bramy sprawiedliwości.

R. Wszedłszy w nie będę Panu wyznawał.

V. Wnijdę do domu Twego Panie.

R. Pokłonię się ku Kościołowi Twemu świętemu w bojaźni Twojej.

V. Otwórzcie bramy, bo z nami jest Pan.

R. Który uczynił moc w Izraelu.

Złoty młotek, który służył do otwarcia drzwi, waży około funta i ma kształt zwykłego młotka. Na jednej stronie nosi napis: „Aperite mihi portas justitiae“, na drugiej: „Jubilate Deo omnis terra“. Od rękojeści z kości słoniowej biegną gałązki róży symbolicznej, wykute ze złota. Na rękojeści jest herb Leona XIII, krzyż bizantyński z napisem: „J. Christus Deus Homo vivit, regnat, imperat.“ Z drugiej strony: „Leon XIII P. M. Cdr. orbis Episcopi an. Jubil. XXIV Dec MDCCCIC.



Bazylika św. Piotra i pałac watykański.

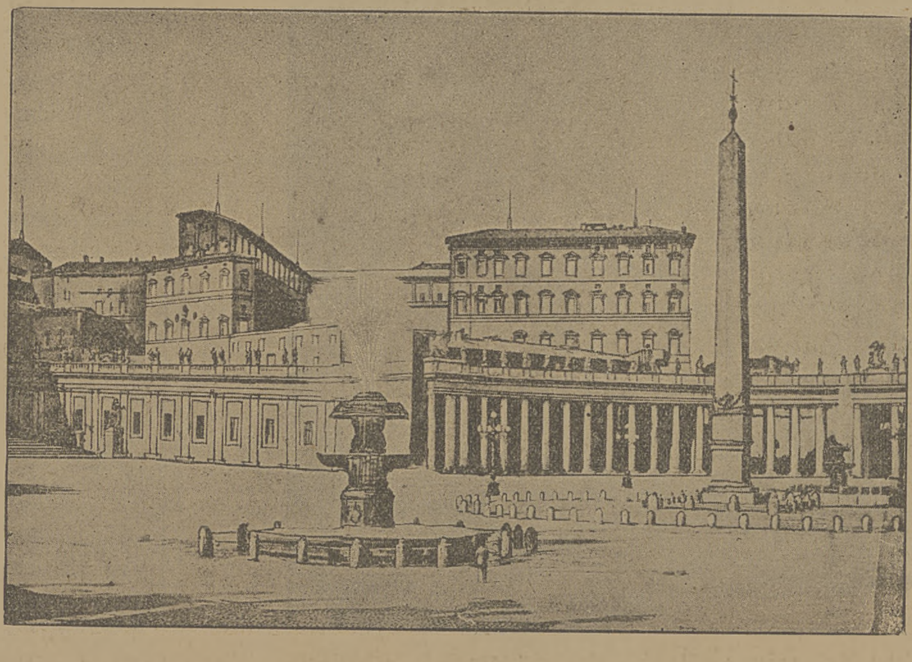
Rękojeść zakończona jest wielkim topazem i łańcuszkiem złotym, z medalem pamiątkowym, wybitym umyślnie na tę uroczystość z napisami łacińskiemi.

Następnie wziął kardynał W. Penitencyarz młotek z rąk Papieża i uderzył nim również w bramę. Toż samo po nim uczynili penitencyarze asystujący mu.

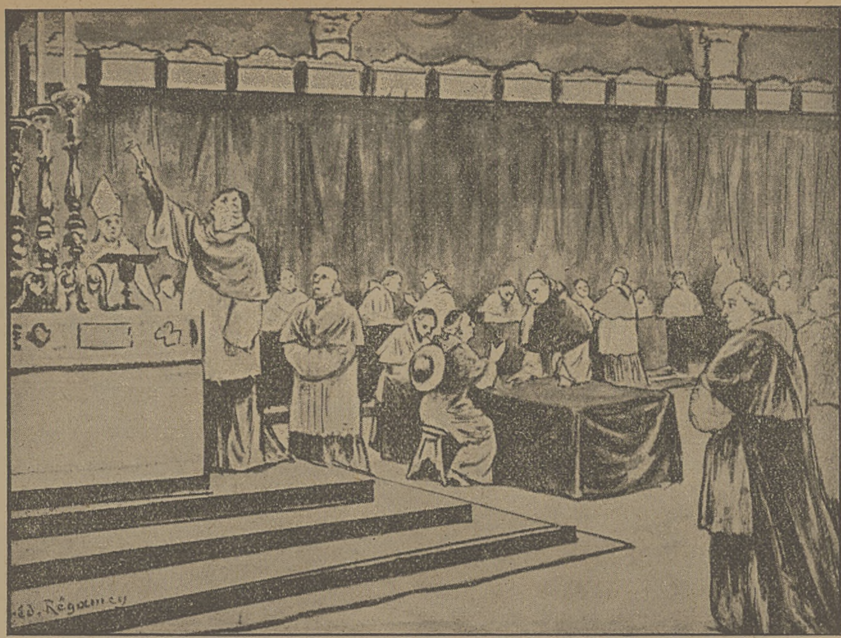
W tej chwili mur już przed tem od otaczających go ścian odłączony i tylko belkami podparty, został szybko usunięty podczas czego Papież zaintonował:

V. Domine exaudi orationem meam (Panie wysłuchaj modlitwy mojej).

R. Et clamor meus ad te veniat (a wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie).



Pałac watykański ze strony placu św. Piotra.



Obór Papieża w kaplicy Syxtyńskiej.

V. Dominus vobiscum (Pan z wami).

R. Et cum spiritu tuo (I z duchem Twoim).

Oremus. Actiones nostras quaesumus, Domine, aspirando praeveni, et adiuvando prosequere: ut cuncta nostra oratio et operatio a te semper incipiat, et per coepta finiatur. Per Christum Dominum nostrum. Amen.

Po polsku: Módlmy się. Czynności nasze, prosimy Panie, natchnieniem uprzedzaj i pomocą wspieraj, ażeby wszelka nasza modlitwa i czynność od Ciebie się poczynała i przez Ciebie zaczęta kończyła. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Następnie penitencyarze w ubiorach kapłańskich myli Bram św. podwoje i ocierali je czystem płótnem. Skoro śpiewacy ukończyli śpiewać psalm „Jubilate“, śpiewał Papież co następuje:

V. Haec dies, quam fecit Dominus.

R. Exultemus et laetemur in ea.

V. Beatus populus tuus Domine.

R. Qui scit iubilationem.

V. Haec est porta Domini.

R. Justi intrabunt per eam.

Oremus. Deus, qui per Moysen famulum tuum populo Israelitico annum Jubilaei ac remissionis instituisti, concede nobis propitius famulis tuis, Jubilaei annum hunc tua auctoritate institutum, quo portam hanc populo tuo ad preces tuae maiestati porrigendas ingredienti solemniter aperire voluisti, feliciter inchoare, et in eo venia et indulgentia plenae remissionis omnium delictorum obtenta, cum dies nostrae advocationis advenerit, ad coelestem gloriam perfruendam tuae misericordiae munere perducamur. Per Christum Dominum nostrum. Amen.

Po polsku:

V. Ten dzień, który uczcił Pan.

R. Radujmy się i weselmy się weń.

V. Błogosławiony lud Twój, Panie.

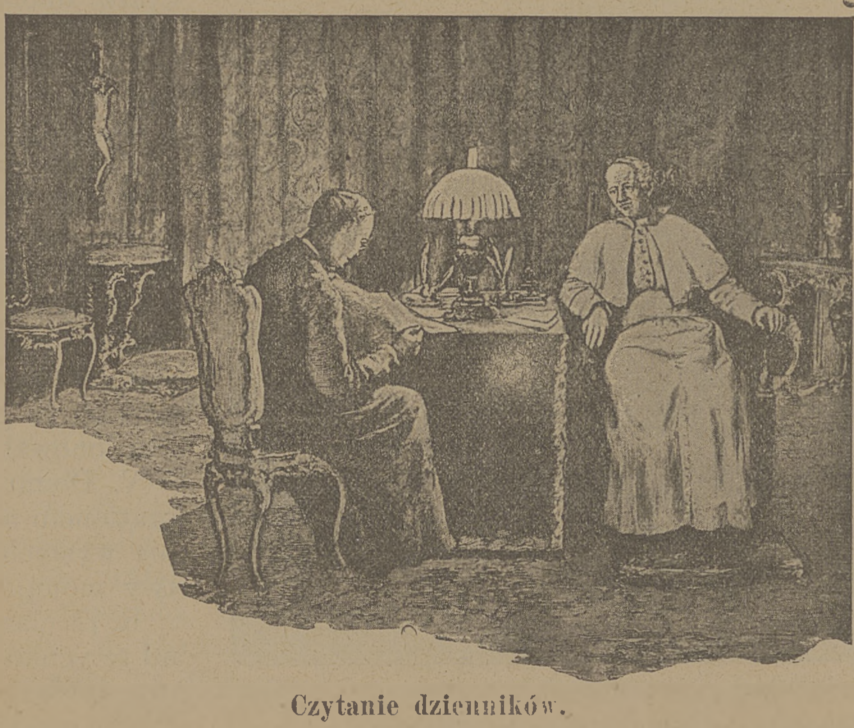
R. Który umie wesołe śpiewanie.

V. To brama Pańska.

R. Sprawiedliwi przez nią będą chodzić.

Módlmy się. Boże, któryś przez Mojżesza sługę Twego ludowi Izraelskiemu rok Jubileuszu i odpuszczenia ustanowił, pozwól nam łaskawie, sługom Twoim, rok ten jubileuszowy, powagą Twą ustanowiony, w którym bramę tę ludowi Twemu, wchodzącemu celem zanoszenia przed Twój Majestat próśb, uroczyście otworzoną mieć chciałeś, szczęśliwie rozpocząć, a gdy w nim przebaczenie i łaskę zupełnego wszystkich przewinień odpuszczenia otrzymamy, gdy dzień naszego odwołania nadejdzie, abyśmy do używania niebieskiej chwały z daru miłosierdzia Twego byli doprowadzeni. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Po odwaleniu kilku cegieł i zdjęciu bronzowego krzyża, przytwierdzonego na zamurowaniu, znaleziono skrytkę, jaka według protokułu z roku 1825 miała się tam znajdować. W niej znalazły się dwie skrzynki, jedna marmurowa, druga ołowiana. Na pierwszej był herb Leona XII i napis: *Leon XII P. Max. Anno 1825 Pontif. Sui An. III*, a z niej, po zdjęciu pieczęci i otwarciu, wyjęto 12 medali złotych, 40 srebrnych i 56 bronzowych, bitych za panowania Leona XII. Pieczęcie nosiły herb ówczesnego majordoma papieskiego, margr. Franciszka Mazzariniego. Na medalach był z jednej strony herb Papieża, z drugiej wyobrażenie ceremonii otwarcia Porty Santy w roku 1825. W drugiej skrzynce znaleziono dwa kosztowne różańce i u jednego z nich przytwierdzony medal, bity na dzień urodzin księcia Bordeaux, u drugiego krzyż, darowany niejakiemu panu Millot, przez chrzestnego ojca, ks. Larochefaucauld, oraz włosy rodziców p. Millot, przeznaczone dla jego dzieci, które miały je otrzymać przy ponownem otwarciu świętych wrót. O wszystkiem tem objaśniały pergaminowe kartki, dołączone do przedmiotów. Po spisaniu protokułu, mgr. della Valpe

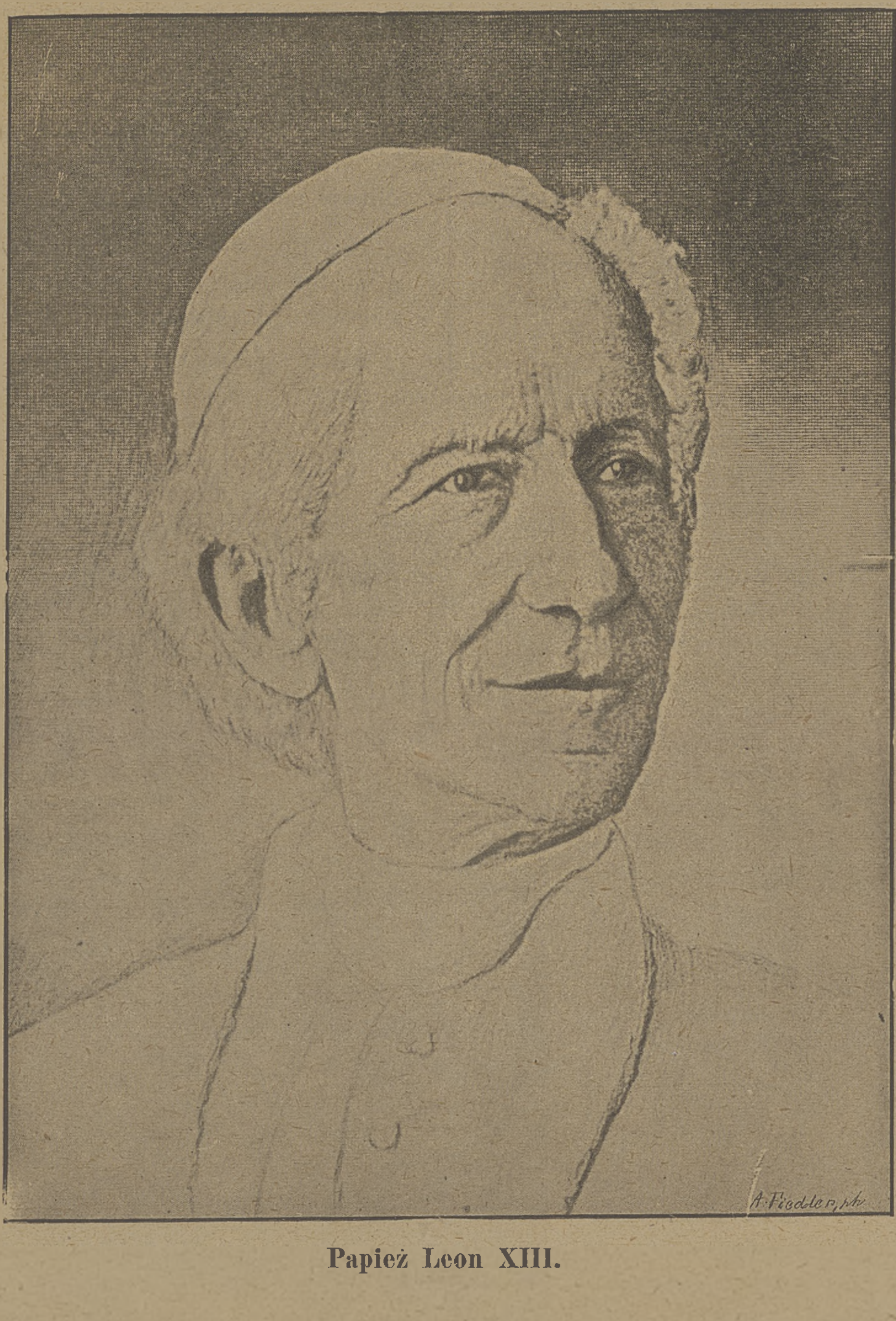


Czytanie dzienników.

udał się do Ojca św. Leona XIII, aby zdać sprawę z aktu i pokazać znalezione pamiątki.

Potem Ojciec św. ukląkł przed Bramą św., krzyż w ręku trzymając, a powstawszy zaintonował „*Te Deum laudamus*“, poczem usiadłszy na sedia gestatoria, został wniesiony przez Bramę św. do kościoła, w tej chwili zupełnie pustego, który równocześnie zaczął się napełniać, a zbliżywszy się do wielkiego ołtarza, rozpoczął uroczyste nieszpory.

Równocześnie o tej samej godzinie kardynał Satolli dokonał młotkiem, ofiarowanym przez katolików francuzkich, otwarcia świętej bramy w bazylice San Giovanni in Laterano; kardynał Wincenty Vanutelli młotkiem, ofiarowanym przez katolików włoskich, dokonał otwarcia św. bramy w bazylice Sta Maria Maggiore, a kardynał Oreglia młotkiem, ofiarowanym przez katolików niemieckich, otwarcia św. bramy w bazylice św. Pawła. Wszędzie olbrzymie tłumy pobożnych asystowały uroczystościom, które miały przebieg nadzwyczaj podniosły, a przeszły w zupełnym spokoju.



Papież Leon XIII.

* * *

W tej uroczystej i poważnej chwili początku „Miłościwego Lata“ myśl nasza biegnie nasamprzód do Ojca chrześciaństwa, do sędziwego Namiestnika Chrystusowego. U stóp Jego składamy hołd szczerego przywiązania naszego i posłuszeństwa. — Lata pontyfikatu Leona XIII zaznaczyły się w dziejach ubiegłego stulecia świetlaną smugą i pozostawią pamięć niezatartą po sobie. Wszystkie narody doznały dobrodziejstw tego Wielkiego Papieża. Papieztwo, prześladowane przez synów niewdzięcznych we Włoszech, jest dzisiaj we wszystkich niemal krajach przedmiotem czci i podziwu. Ku niebu wznosi się modlitwa nasza gorąca, by Bóg jak najdłużej w nowym okresie czasu raczył nam zachować Wielkiego naszego Papieża!

M .B. P. K.

Arcypasterz nasz — przychodzi do zdrowia! Oto radosna wieść, która głośnem echem rozeszła się w dzień Nowego Roku, a wszystkie warstwy społeczeństwa naszego prześcigały się w okazaniu naszemu Książęciu Kościoła, jak pożądaną im jest chwila złożenia znów osobiście hołdu i życzeń najszczerszych, mianowicie co do ustalenia zdrowia. Wszyscy wynieśli to wrażenie, że poważne obawy usunięte. Dostojny pacyent przedstawia w wyglądzie swym jeszcze objawy ciężkiego cierpienia świeżo przebytego, ale niemniej w cerze i wzroku rękojmię stanowczej rekonwalescencyi. Wróciła też dawna swoboda i ożywienie. Wszyscy wracali z pałacu z najlepszą otuchą, mianowicie też, że trudy licznych przyjęć poprzednich, nie wpłynęły ujemnie na siły dostojnego pacyenta.

Arcypasterz nasz, ks. Floryan Stablewski, rzadkim się cieszy szacunkiem i miłością ze strony dyecezyan. Miłość ta i ten szacunek, którego tylekrotny wyraz widzieliśmy w chwili, gdy zdrowie naszego Arcypasterza dawało powód do obaw, wypływa niemniej z osobistych Jego zalet, jak i wysokiego dostojeństwa, które piastuje.

W osobie naszego Najprzewielebniejszego Arcypasterza dał nam Pan Bóg serdecznego Ojca, który żyjąc wśród nas, najlepiej zna potrzeby i niedostatki nasze. Dla tego ukochanego naszego Ojca błagały tysiączne tłumy szczególnie gorąco Boga, by Go obdarzył trwałem zdrowiem, by Mu oszczędził wszelkich przykrości i bólów, by wszystkie owieczki utrzymał w Jego pasterskiej pieczy, a przez to uradował Jego wielkoduszne, pełne miłości ojcowskiej dla wszystkich serce.

W ciągu choroby Jego okazała się i okazuje najrzewniej ta miłość wiernych owieczek Jego. Patrzeliśmy z wruszeniem, jak pielgrzymki dążyły do grobu św. Wojciecha i na miejsca cudowne, by modlić się za Niego.

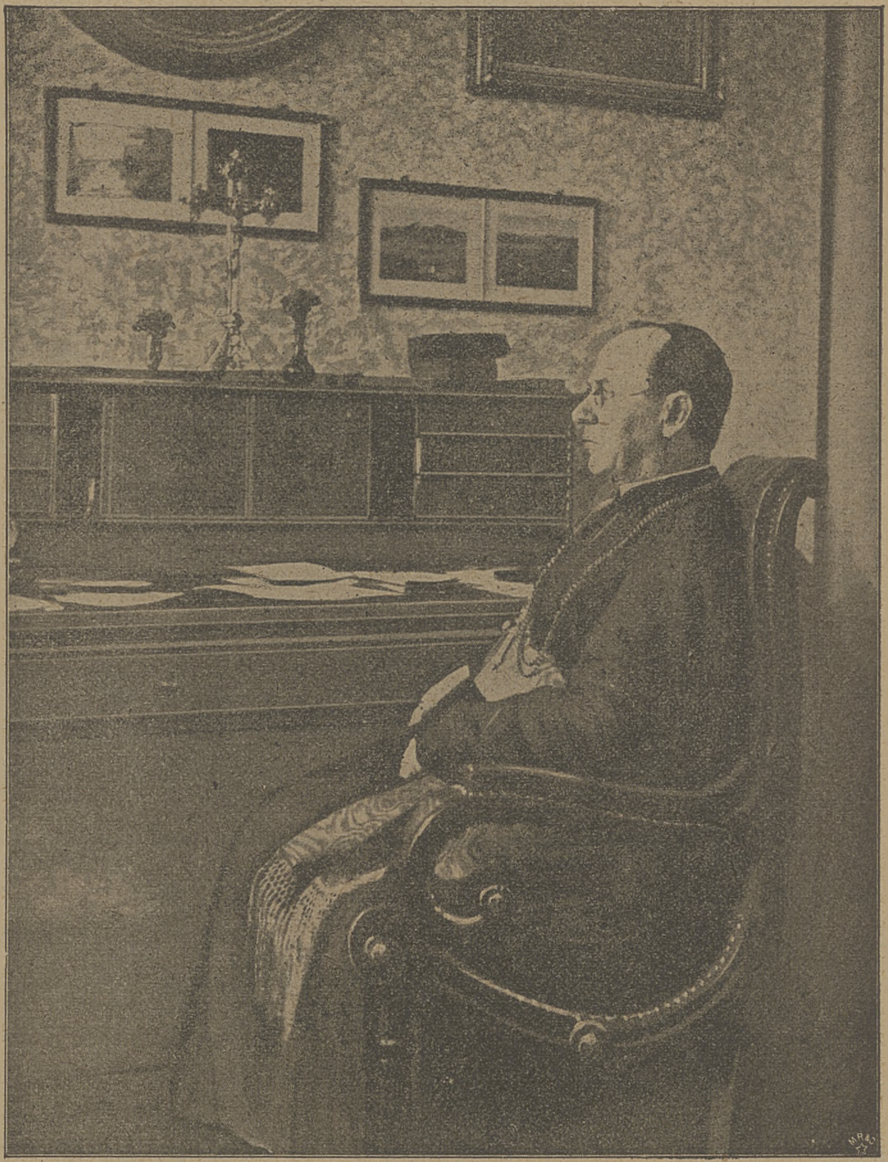
Ulgą zaś największą dla serca ojcowskiego Najprzewielebniejszego Arcypasterza z pewnością będzie, gdy ujrzy, że wszyscy rozumiejąc Jego serce i pasterskie zamiary, będą starali się utwierdzać, każdy w swojem kole, te podstawy, których żadna siła na ziemi nie obali, dlatego, że z wiary od Boga pochodzą.

Z dyecezyą stroskaną łączyły się modlitwy daleko po za jej granicami, a nawet sam Ojciec św. w arcykapłańskiej modlitwie polecał to zdrowie nam drogie Panu Bogu.

Pan Bóg w swej niewyczerpanej dobroci wysłuchał gorące modły całej Wielkopolski — i przywrócił Najprzewielebniejszemu Arcypasterzowi zdrowie.

Niech żyje nasz Książę Kościoła w pełnem, nieprzerwanem zdrowiu *„ad multos annos!“*

Redakcya.



+ Florianus
Archiepiscopus Gnesnensis et Posnaniensis

Nowe zakusy germanizacyjne.

W ostatnim czasie nowe wydali Niemcy hasła w walce narodowościowej z żywiołem polskim: wzmacniać na kresach niemczyznę za pomocą dzieł kulturnych; w tym celu mają być pobudowane muzea i biblioteki, mają do nas zjeżdżać profesorowie uniwersytetów niemieckich i miewać wykłady, miały być zakładane nawet po wsiach biblioteki, zawierające dzieła kosztowne, urządzane wędrowne wystawy niemieckich arcydzieł malarskich i był nawet projekt, żeby w prowincyi naszej występowali pierwszorzędni artyści niemieccy.

Wszystko to, na co dotychczas zdobył się rozum niemiecki, a więc szkoły niemieckie, całe ustawodawstwo antypolskie z komisyą kolonizacyjną na czele, „wzmacnia" niemczyznę niedość energicznie; środki dotychczasowe wykazały się niedostatecznemi, trzeba było wymyślić coś nowego! I oto co wymyślono: do ciężkiej órki niemieckiej na polskiej glebie zaprzęgają rumaka cywilizacyi niemieckiej.

Ministrowie pruscy przypisują temu projektowi tak wielkie znaczenie, że w parlamencie nazwano go nowym kursem, obiecując sobie po nim złote góry.

U nas zapowiedź tego nowego kursu przyjęto dość obojętnie i ze spokojem patrzymy, tutaj w Poznaniu, jak się wznoszą fundamenta pod gmach muzealny i nową bibliotekę krajową.

Kolosalne sumy, jakie na cel ten przeznaczono, powinny nas nakłonić do zastanowienia, jakiemi drogami chcą nas oskrzydlić, co oznaczają te nowe zakusy i czy istotnie grozi nam nowe niebezpieczeństwo?

Spekulacya inicyatorów nowego kursu jest dość jasna, rozumują oni następująco:

Ludność polska nie wie dokładnie, jakie to na nią spadną splendory, gdy się wyrzecze swoich ideałów i rzuci w ramiona Germanii, trzeba więc Polakom pokazać na miejscu, jakiem to światłem jest cywilizacya niemiecka, jaką uczoność posiadają profesorowie berlińscy, jakie to dzieła ma literatura niemiecka i sztuka niemiecka. — Gdy Polacy to wszystko zobaczą, tę potęgę i wielkość ducha rodaków Bismarcka, wówczas niejeden z nich powie sobie: toć lepiej być Niemcem, aby się w tem słońcu wielkości niemieckiej wygrzewać i kto wie — tak spekulują — czy niejeden Polak nie wyrzecze się narodowości i wiary i nie zechce zmienić nazwiska na piękniej brzmiące nazwisko niemieckich Michlów lub Gottliebów.

Jednem słowem chcą nas kulturą swoją olśnić, a widomemi znakami tej kultury mają być nowe instytucye.

Co Niemców na tę nową drogę naprowadziło, skąd ten nowy zakus?

Otóż Niemcy doświadczyli skuteczności tego środka poniekąd na własnej skórze. Wyższość kultury francuzkiej, istotna wielkość ducha francuzkiego wynarodowiły setki tysięcy Niemców w Alzacyi i Lotaryngii; Alzatczycy i Lotaryńczycy, mimo swego pochodzenia niemieckiego i nazwisk niemieckich, stali się Francuzami z ducha, nienawidzącymi Niemców. Francuzka cywilizacya poczyniła sama w ciągu niespełna dwóch stuleci kolosalne zdobycze bez komisyi kolonizacyjnych, bez szkół francuzkich i ustaw językowych, bo na tem polu naród francuzki wielkodusznie pozostawił Niemcom wszelkie swobody.

Czy wśród nas Polaków cywilizacya niemiecka jako środek wynarodowienia zdoła tego samego dokonać dzieła co u Niemców w Alzacyi?

Nie trzeba być ani prorokiem, ani optymistą, ażeby na pytanie to odpowiedzieć przecząco. Francya, jako spadkobierczyni świata romańskiego, jest istotnie wielką i imponującą. Gdybyśmy tutaj byli pod panowaniem francuzkiem, bez wątpienia niebezpieczeństwo wynarodowienia byłoby groźniejszem; wszak był czas, że u nas walczono przeciw książkom francuzkim, że wyższe warstwy mówiły przeważnie po francuzku!

Niemcy są narodem wielkim liczebnie, ale tej wielkości ducha, którą wielkie narody olśniewają małe, nie posiadają. Wszakżeż o Rzymianach, co to wynarodowili Galów, Celtów i w części Franków, wiadomo, że narodom podbitym zostawiali bogów i język, że im tych skarbów nie wydzierali. Naród duchowo wielki, mający do spełnienia jakieś wielkie światowe posłannictwo, nigdy nie posługuje się środkami małemi; Anglicy nawet szanują język i obyczaje ujarzmionych Hindusów. Dla tego też, nie będąc pesymistami, nie obawiamy się nowych zakusów germanizacyjnych. *O. K.*

Królewskie przyrzeczenia.

(Wspomnienie historyczne.)

Na mocy traktatu zawartego z Napoleonem I w Tylży ziemie, pochodzące z podziału 1793 roku, wcielone zostały do Księstwa warszawskiego. Gdy po upadku Napoleona, kongres Wiedeński w r. 1815 przeprowadził wielką likwidacyę utworzonej przez Napoleona konstelacyi politycznej, ziemie te dostały się znowu pod panowanie Prus, jako „Wielkie Księstwo Poznańskie." Nowa ta pruska prowincya zaokrąglona została przez włączenie kilku drobnych kawałków Marchii i Ślązka.

W odnośnej umowie pomiędzy Prusami a Rosyą dnia 3-go Maja 1815 zawartej w Wiedniu (preuss. Gesetzes-Sammlung 1815) czytamy co następuje:

„Polacy, o ile są poddanymi państw zawierających umowę, mają korzystać z urządzeń, zapewniających im zachowanie ich narodowości, a to w takiej mianowicie formie, jaką ich organizacyi społecznej każde z państw, do których należą, nadać uzna za właściwe".

W jaki sposób powyższą, niezupełnie jasną i do wielu nieporozumień prowadzącą formułę dyplomatyczną pojmował król. rząd pruski, wynika z manifestu, który został wydany przez Fryderyka III-go dnia 15 Maja 1815 roku do mieszkańców na nowo przyłączonej do Prus prowincyi.

W manifescie tym, który podajemy poniżej w orginalnem brzmieniu polskiem, pisze król Fryderyk Wilhelm co następuje:

„Do mieszkańców Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Gdy przez dzisiajszy patent objęcia kraju wprowadziłem na nowo w starożytny związek części wróconych Mojemu państwu powiatów Księstwa Warszawskiego, które dawniej do Prus należały, umyśliłem ustalić również i wasze stosunki. I wy także otrzymaliście ojczyznę, a z nią razem i dowód, jak wielce cenię wasze do niej przywiązanie. Będziecie wcieleni do mojej Monarchii bez ubliżenia waszej narodowości. Będziecie uczestnikami konstytucyi, którą wiernym poddanym moim udzielić zamyślam, i otrzymacie równie jak inne prowincye Mego państwa rząd prowincyonalny.

„Wasza religia zostanie zachowaną i przedsięwzięte będą środki do utrzymania duchownych w miarę ich dostojeństw. Wasze osobiste prawa i wasze własności wracają pod opiekę ustaw, względem których i wy później przyzwanymi będziecie do naradzania się.

„Wasz język ma być używany obok niemieckiego we wszystkich publicznych sprawach, a każdemu z was w miarę zdolności jego otwartym zostanie przystęp do publicznych urzędów „Wielkiego Księstwa, równie jak i do wszelkich urzędów i dostojeństw mojego państwa.

„Zrodzony między wami Namiestnik mój wśród was ma rezydować. Będzie on Mnie uwiadamiał o waszych życzeniach i potrzebach a was nawzajem o zamiarach mego rządu.

„Wasz współobywatel, mój naczelny prezes, organizować będzie Wielkie Księstwo podług odebranych odemnie instrukcyi i zarządzać niem we wszelkich oddziałach aż do uzupełnienia organizacyi. Ma on w tej okoliczności wzywać mę-

żów między wami ukształconych, o ile ich do tego usposabiają ich wiadomości i zaufanie wasze.

„Po ukończeniu organizacyi nastąpią wszędzie urzędowe stosunki powszechnie przepisane. Mocną i stałą moją wolą jest, aby przeszłość oddana była zapomnieniu.

„Moje starania zupełnie do przyszłości należą. W niej spodziewam się znaleść środki, abym ten kraj nad swoją możność wysilony i głęboko wyczerpany wprowadził jeszcze raz na drogę dobrego bytu.

„Ważne doświadczenia was nauczyły. Ufam z pewnością, iż sami to wszystko uznacie.

„Dan w Wiedniu (podp.) Fr. Wilhelm dnia 15 Maja 1815. (kontrsyg.) Hardenberg.“

Dokument powyższy zawiera zasadnicze dyrektywy co do ułożenia się stosunków politycznych w Księstwie.

Ustrój polityczny Księstwa według manifestu tego miał polegać przedewszystkiem na zupełnem równouprawnieniu Polaków z Niemcami. Język polski w administracyi, w sądownictwie, w szkołach i wszelkich instytucyach publicznych miał zapewnione prawo obywatelstwa. Organizacya prowincyi dokonaną być miała przy współudziale mężów zaufania społeczeństwa polskiego — a co najważniejsza — organizacya ta miała być przeprowadzona w taki sposób, aby Polacy mogli być obywatelami państwa nie wyrzekając się swej narodowości.

Ważniejsze ustępy manifestu tego podajemy i po niemiecku:

„Einwohner des Grossherzogtums Posen.

„Auch Ihr habt ein Vaterland und mit ihm einen Beweiss Meiner Achtung für eure Anhänglichkeit an dasselbe erhalten.“ — „Ihr werdet meiner Monarchie einverleibt, ohne eure Nationalität verleugnen zu dürfen.“ „Eure Sprache soll neben der deutschen in allen öffentlichen Verhandlungen gebraucht werden.“ „Mein unter Euch geborener Statthalter wird bei euch residiren“ etc. etc.“

W jaki sposób rząd pruski wywiązał się wobec Polaków z tych przyrzeczeń?

Namiestnikiem Wielkiego Księstwa został zrazu Polak, kuzyn cesarski, książę Antoni Radziwiłł, który też w zastępstwie króla przyjmował przysięgę poddańczą od mieszkańców Księstwa.

Naczelny prezes Księstwa, Zerboni di Sposetti w odezwie z dnia 30 czerwca 1815 r. oznajmił, że:

„1) Wszelkie z urzędu przez król. komisye regencyjne wydawać się mające rozporządzenia i rozkazy wychodzić będą w obydwóch językach niemieckim i polskim.

„2) Osoby prywatne czynić mogą wedle upodobania swe prośby i podania w niemieckim lub polskim języku. — — Na podania w języku niemieckim wychodzić będzie rezolucya król. komisyi regencyjnych tylko w tymże języku, na podania zaś w polskim — nastąpi rezolucya w niemieckim i polskim.“

Patent królewski z dnia 9 Lutego 1817 roku w sprawie języka urzędowego w sądach oznajmia:

„Ze względu na strony, obydwa języki, tak niemiecki jak i polski, urzędowemi w sądach są językami“.

Lat kilkanaście trwał ten stan przejściowy, gdy powyższe przyrzeczenia królewskie nie były uważane za czcze słowa. Aż do roku 1830 t. j. aż do chwili, gdy naczelnym prezesem mianowany został Flottwell, trwał spokój, ponieważ rząd z żadnemi planami germanizacyjnemi nie występował. Wraz z Flottwellem przyszedł system germanizacyjny. Jednym z pierwszych czynów Flottwella było systematyczne usuwanie języka polskiego z urzędów, o ile w administracyi i sądownictwie obok niemieckiego pozostał w użyciu.

Nie zadawalniając się wszelkiego rodzaju administracyjnemi sposobami wypierania polskości, zapragnął Flottwell rozwinąć szeroko pomyślaną akcyę germanizowania kraju. Rozpatrzywszy się w stosunkach, nowy naczelny prezes uznał, że najskuteczniejszym środkiem zwalczania polskości będzie usilne popieranie przechodzenia ziemi z rąk polskich w niemieckie. W tym celu przedłożył rządowi projekt, zatwierdzony w r. 1833 dnia 15 marca, aby kasa państwowa nabywała na licytacyach majątki z rąk polskich i następnie odsprzedawała je Niemcom.

Flottwell dobrze upatrzył chwilę: wyniszczone poważnemi ofiarami na ołtarzu ojczyzny w r. 1830 i 1831 ziemiaństwo zmuszone było pozbywać się ziemi; przyczyniła się do tego też niemało nizka cena zboża (pruski korzec żyta kosztował zaledwie 2 mk.) Wskutek tego liczne majątki niegdyś polskie dostały się w ręce rządu, który je odprzedawał Niemcom i żydom, nigdy inaczej, jak tylko pod warunkiem, że w razie dalszej sprzedaży również tylko Niemiec lub żyd właścicielem będzie. Niejmniej i przy wydzierżawianiu dóbr skarbowych od czasów Flottwella tylko niemieccy reflektanci mogą liczyć na zatwierdzenie.

Lecz mało było Flottwellowi wystawionych na licytacyę majątków polskich, które z pomocą pieniędzy skarbowych można było oddać w ręce niemieckie; wprawdzie reskrypt królewski z dnia 15 marca 1833 upoważniał go do nabywania od polskich właścicieli tylko takich majątków, które bez żadnych kroków z jego strony, li tylko wskutek ruiny materyalnej właścicieli wystawione były na licytacyę — lecz dla czynnego nadprezydenta nie było to przeszkodą w wywieraniu presyi, któraby przyspieszyła licytacyę licznych majątków polskich. Wskutek wskazówek, udzielonych przez Flottwella wszelkim państwowym i półrządowym instytucyom kredytowym, jak kasy emerytalne dla wdów, inwalidów, sierot i t. d., wszystkie te instytucye nagle wymówiły właścicielom Polakom zaciągnięte przez nich pożyczki hipoteczne. Wskutek tego manewru nastąpiło z jednej strony — ogromne podrożenie kredytu rolnego, a z drugiej — niezmierna deprecyacya wartości ziemi. Cena majątków ziemskich spadła tak nizko, że w szeregu wynikłych wskutek tego licytacyi skarb pruski, jako jedyny kupiec, sam niemal normował ceny kupna i nabywał dobra z rąk polskich daleko niżej od istotnej wartości, aby je odprzedać Niemcowi, częstokroć bez grosza zaliczki, jedynie za zabezpieczeniem hypotecznem.

Mając niejako w ręku sprężynę całej maszyneryi, rząd wiedział dobrze, że cena majątków podniesie się znowu, a w ten sposób da możność łatwego spłacenia długów skarbowych. I tak się też stało. Majątki, które z rąk rządu nabyli wtedy Niemcy po 20—30 tysięcy talarów w kilka lat później szły w cenie 50—60 tysięcy. Ma się rozumieć do rąk polskich już nie wróciły. Z tych to czasów datuje się przeważna część majątków niemieckich.

Charakterystyczną cechą rządów Flottwella było formowanie zwartych kadrów biurokracyi niemieckiej, ożywionej jedną myślą i jedną dyrektywą forsownego germanizowania.

Taki stan rzeczy nie mógł nie wywołać skarg i protestów ze strony Polaków. Skargi i protesty te jednak niewielką miały donioslość, ponieważ wobec ostrej cenzury prasowej, wobec niezmiernie surowego prawa o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, jedynym organem skarg tych były rezolucye prowincyonalnego sejmu Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Jedynym wynikiem skarg był rozkaz gabinetowy z dnia 15 stycznia 1841 r., na mocy którego rozprawy sądowe toczyć się miały w tym języku, w jakim podaną została skarga. Rozkaz ten jednak pozostał na papierze — a w praktyce trwało dalej narzucanie języka niemieckiego.

I tak oto — z biegiem lat — doszliśmy do dzisiejszych stosunków.

Gdy się zwróci wzrok wstecz — ku zaprzysiężonemu słowu królewskiemu, mimowoli narzuca się pytanie: a cóż one są warte te obietnice królewskie?

Pytanie to niejednokrotnie powtarzali Polacy publicznie, i był czas, gdy się Niemcy przynajmniej wstydzili wobec tych przypomnień. Aż wreszcie przy-

szedł czas, gdy znalazł się człowiek, który na pytanie, cóż są więc warte te przyrzeczenia królewskie, odpowiedział z zimną krwią: „Sie sind keinen Pfifferling wert“. Słowa te wypowiedział Bismark. Historya przyznała mu zupełną racyę: *Te przyrzeczenia nie są warte ani złamanego szeląga.*

Dr. R......

Warszawa

w dzień Bożego Narodzenia 1899 r.

(Oryginalna korespondencya „Pracy“.)

(Cyrk Nerona, panorama Styki, i męczeństwo Polski: aresztowania i moskwiczenie instytucyi prywatnych. Ku Indyom i Burom.)

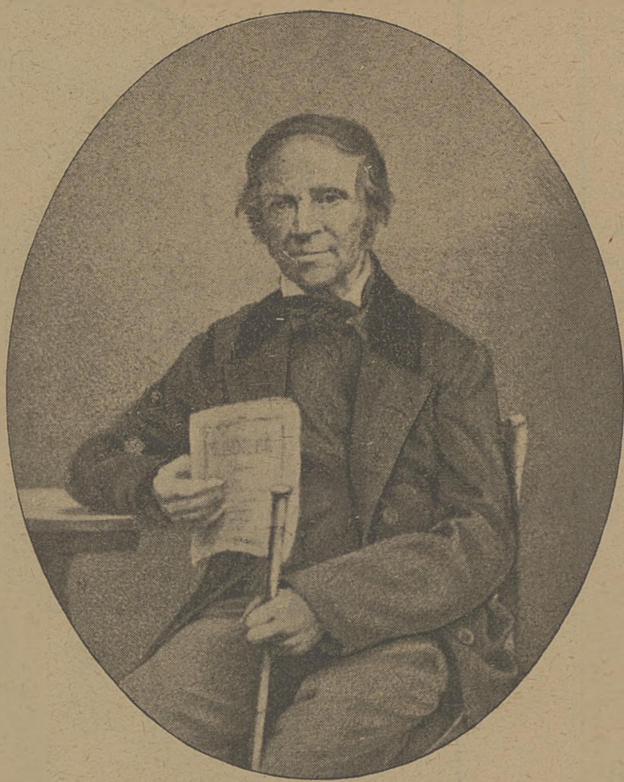
Dnia 21 bm. otwarta została dla publiczności wspaniała panorama malarza lwowskiego Styki: cyrk Nerona. Krzyże, krzyże i krzyże widzisz w nieskończoności świetnej perspektywy i krew najzacniejszych nie na darmo, jak się okazało, przelewaną. Taką samą widownię, jak cyrk ów, przedstawiają ziemie polskie. Tejże samej nocy z 21 na 22 i następnych z 22 na 23 oraz w noc wigilijną aresztowano mnóstwo osób... pono około 60. Oto nazwiska niektórych: Somulińska, Refich, Jachółkowska, dwie Kruszewskie z ojcem, Leszczyński, Michalski, Piotrowska, Sępołowska, Unszlichtówna, Wędrychowski, Winnicki, Wolfówna, Przybytniewski, Oppenheim, Marburg, Niemojewski. Rzecz się przedstawia, jak w dramacie Maskoffa „Tamten“, tem tragiczniej, że rząd rosyjski ściga tu sprawy humanitarne i legalne i chce sięgać do wszelkich zakamarków działalności czysto prywatnej n. p. w tym wypadku kładzie rękę ciężką na Towarzystwo Dobroczynności warszawskiej. Usunięci zostali z przewodnictwa radcowie stanu Brodowski i prof. Jurkiewicz, a przyaresztowani członkowie wydziału czytelni bezpłatnych w tem towarzystwie — powyżej wymienieni. Teroryzm ten potrzebny jest księciu Imeretyńskiemu, aby po myśli rządowej przeprowadzić wybory naznaczone na 15 stycznia. Najazd chce mieć z Dobroczynności instytucyę rządowo policyjną. Jest to nam tu zupełnie jasne.

Cel wzniecenia popłochu jest istotnie osiągnięty. Znajomi się spotykają uradowani, że nikogo niewzięto z pomiędzy nich. Mnie samemu wczoraj żywo się ucieszono na wizycie poobiedniej i niepuszczono, dopóki nie spaliłem wszystkich papierów noszonych przy sobie (m. i. niniejszą korespondencyjkę) któreby mnie skompromitować mogły w jak najpośredniejszy sposób.

Szpiegi i żandarmi kręcili się przed domem.

Koło pomnika Mickiewicza uwijało się wczoraj mnóstwo żandarmów... obawiali się demonstracyi robotników w dzień urodzin wieszcza i w rocznicę odsłonięcia jego wizerunku z miedzi.

Zaprowadzenie języka rosyjskiego w instytucyach prywatnych postępuje wciąż coraz dalej: moskwiczenie zapuszczane jest jak zimne żelazo w ciało społeczne polskie. Podobno język rosyjski wprowadzają do całego urzędowania Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, co jest niedorzeczne, a nawet biegli taksatorowie dóbr ziemskich mają od nowego 1900 roku zdawać sprawy po rosyjsku. Taki przynajmniej rozszedł się okólnik Imeretyńskiego do władz Towarzystwa.



Stanisław Jachowicz.

Zacietrzewiony rząd nie uwzględnia, że biegli to nie władze Towarzystwa, lecz publiczność obywateli zaproszona do obowiązku obywatelskiego, którzy nie posiadają obcej mowy, a szczególnie jej wyrażeń technicznych.

Z Podola nadchodzą wieści, potwierdzające wiadomość, że bardzo wiele wagonów kolejowych zapotrzebowano dla wojska w kierunku Persyi. Słychać wciąż też o wyjazdach oficerów rosyjskich do Transwaalu i Indyi. Czy Rosya może nie zechce skorzystać z ambarasów Anglii w Afryce, aby przygotować się do uderzenia wroga w serce t. j. Indye? Wobec takiej ewentualności pamiętajmy, że Anglia byłaby chcąc niechcąc jedynym naturalnym silniejszym sprzymierzeńcem Polski uciśnionej i walczącej o swe istnienie i niepodległość. — Lecz kończę, bo nawet pisać — jest niebezpiecznem.

A teraz kochana „Praco“ szczęść Boże w Nowym Roku, Tobie i wszystkim Czytelnikom. Wkrótce doniosę więcej a da Bóg — weselsze wiadomości.

O... B...

Stanisław Jachowicz.

Dnia 17 kwietnia 1796 roku ujrzał światło dzienne znakomity polski pedagog i autor najpopularniejszych utworów ojczystych dla wieku młodocianego, Stanisław Jachowicz. Na książkach jego wykształciły się z górą trzy pokolenia.

Jachowicz urodził się w Dzikowie pod Tarnobrzegiem. Ojciec jego pełnił obowiązki pełnomocnika i rządcy majątków hr. Tarnowskich. Osierocony wcześnie przez ojca, Jachowicz otrzymał staranne wychowanie dzięki zabiegom matki. W jesieni 1815 r. po ukończeniu szkół w Stanisławowie przybył do Lwowa, gdzie wstąpił na kursy filozoficzne. Młodzież wówczas garnęła się skwapliwie do literatury ojczystej. Coprawda łatwiej było wówczas o książkę niemiecką lub francuską, — niż polską.

„Nie było książek polskich oprócz kalendarza,
Modlitew, katechizmu i elementarza,
A tych, co się lęgły w Wrocławiu u Korna
Odstraszała młódź chętną cena ich potworna.“

Gromadziła się więc zacna młodzież na wspólne pogadanki celem kształcenia się w literaturze. W roku 1818 radca prokuratoryi z Król. Polskiego, p. Strzelecki, zaproponował Jachowiczowi, który był duszą owych zebrań przeniesienie się do Warszawy. Tam, pozostając w służbie rządowej, zapoznał się z Kazimierzem Brodzińskim podówczas już słynnym poetą. W towarzystwie Brodzińskiego rozmawiano raz o rozmaitych systemach wychowania dzieci. Zdania były podzielone. Brodziński zapytał o zdanie Jachowicza, ten zaś odrzekł: „Sądzę, że przedewszystkiem nawiązana być musi pomiędzy nauczycielem a uczniem nić pewnej serdeczności i zaufania. Nauczyciel, nie kochany przez ucznia albo nic, albo niewiele dokaże. Gdzie niema miłości, tam najkunsztowniejsza metoda nie poradzi.“

Brodziński przepowiedział mu wtedy, że powinien zostać pierwszym z pedagogów polskich. I nie omylił się. Jachowicz udzielając prywatnie lekcyi języka polskiego, rozwinął taki zasób pedagogicznych zdolności, że poświęcił się wreszcie zawodowi nauczycielskiemu. Wkrótce dzięki swym zdolnościom nauczycielskim stał się osobistością kochaną i uwielbianą. Dziatwa przepadała za Jachowiczem.

Nie poprzestając na żywem słowie pracował też Jachowicz i piórem dla ukochanej dziatwy polskiej. W r. 1824

ukazał się pierwszy tomik jego „Bajek i Powiastek“, które w krótkim czasie kilkunastu wydań się doczekały. Nadto redagował on „Dziennik dla dzieci“ i „Leszka Białego“, tudzież wydał dla młodzieży rzemieślniczej, którą zawsze szczególniejszą otaczał sympatyą, dziełko „Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej“, jak niemniej i „Książkę dla rzemieślników“, obejmującą wybór powiastek, wierszyków i rozprawek. Talent pisarski Jachowicza objawił się najdzielniej w formie bajek i przypowiastek, zastosowanych przedziwnie do pojęć dziecinnego wieku. Znajdujemy tam cały świat pojęć dziecinnych, udramatyzowany celem wpojenia w niewinne umysły zasad poczciwych i cnót chrześciańskich. Dodajmy do tego styl, wolny od pedanteryi, pełen naiwnej dziecięcej prostoty, a przytem barwny i świeży, czysty i poprawny, a łatwo pojmiemy, dla czego pisma Jachowicza zasłynęły na całym obszarze ziem polskich, dlaczego całe pokolenia uczyły się ich na pamięć.

Jako człowiek zasłużył sobie Jachowicz na najlepsze wspomnienie, a jakkolwiek życie całe ciężko pracował na chleb powszedni, znalazł jednak zawsze dość czasu na to, aby radą, czynem i groszem nieść pomoc bliźnim. Zabiegom jego zawdzięcza powstanie swe pierwsza ochrona Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie w r. 1839.

Jachowicz zmarł w roku 1857. O nim powiedzieć można:

„Kochał — więc był kochany“.

St. Schn. Pe.

Obrońca ludu górnoślązkiego.

Poseł powiatu Opolskiego na Górnym Śląźku do sejmu i do parlamentu, pan major Szmula ukończył właśnie 70 lat życia. Z tej przyczyny uważamy za słuszne podać na tem miejscu krótki życiorys czcigodnego posła, który z biegiem czasu stał się wśród ludu górnoślązkiego, którego dzieckiem jest, najpopularniejszą osobistością.

Pan major Szmula, właściciel dóbr Friedewalde w powiecie grotkowskim, niedaleko od Nysy, urodził się 30 grudnia 1829 roku w Pszowie w powiecie Rybnickim, gdzie jego ojciec, późniejszy właściciel wsi Gisówki, był rządzcą dóbr. Pierwsze nauki w szkole wiejskiej otrzymawszy, uczęszczał następnie p. Szmula do gimnazyum w Raciborzu, poczem poświęcił się gospodarstwu, z którego go obowiązek odsłużenia wojskowości odwołał. Wstąpiwszy do strzelców gwardyi w Berlinie, złożył świetny egzamin chorążowski, następnie w szkole chorążych w Poczdamie egzamin oficerski i został przeniesiony do 22. pułku piechoty w Nysie, gdzie po czterech latach służby został mianowany nauczycielem przy szkole dywizyonu i później w randze porucznika nauczycielem rysownictwa i miernictwa.

W styczniu 1865 r. ozdobiony orderem orła czerwonego, został mianowany kapitanem i jako taki miał udział przy wybuchu prusko-austryackiej wojny.

Pan Szmula posunięty został w marcu 1870 r. do rangi majora.

Wojna roku 1870—1871 wybuchła. Pan major Szmula, przydany jeneralnemu gubernatorowi w Poznaniu, służył później jako jeneralny sztabowy oficer w Strassburgu. Po wojnie pojechał do Anklamu, lecz nie mogąc się z zwierzchnością ułożyć, podał się do dymisyi.

Osiadłszy na wsi w Friedewalde, oddał się gospodarstwu, urządzając je podług najnowszych naukowych wymagań, brał przytem czynny udział przy założeniu Związku włościańskiego, objeżdżając Górny Śląźk i na licznych zgromadzeniach lud gospodarstwa ucząc, wiele się przyczynił do wlania świeższego ducha w dusze rozpaczających gospodarzy.

W miesiącu maju 1870 r. został pan Szmula odznaczony orderem Świętego Grobu; do sejmu i do parlamentu wybrano go 1885 r. w okręgu Bytomskim. Posłował z tego powiatu aż do r. 1893, broniąc ile możności praw kościelnych, ludowych, językowych i szkolnych.

W r. 1893 zerwała się przeciw panu majorowi Szmuli gwałtowna burza. Zarzucano mu, że za wiele się z ludem styka, że wiele bywa na zabawach i zgromadzeniach ludowych, z której to przyczyny pada na niego podejrzenie „wielkopolskiej agitacyi“. Na podstawie podobnych nic nieznaczących i wprost dziecinnych zarzutów rozpoczęto z nim walkę o mandat. Walka ta skończyła się zupełną porażką przeciwników, gdyż pan Szmula otrzymał wyłącznie od ludu 23 tysiące głosów (o 4000 więcej, aniżeli w poprzednich, spokojnie odbywających się wyborach), wszyscy zaś połączeni przeciwnicy zdołali na swego kandydata zaledwie 12,000 głosów zebrać.



Major Szmula.

Było to więc wspaniałe zwycięztwo ludu, które pociągnęło za sobą cały szereg nowych zwycięztw, jako to w Opolskiem — gdzie pana majora Szmulę tego samego roku po dwakroć wybrano (pierwszy wybór został w Berlinie unieważniony) głosami ludu przeciw połączonym przeciwnikom, tak zwanej „Mischmaschpartei“ posłem do sejmu — dalej

w Prudnickim (wybrany gospodarz Strzoda) w Pszczyńsko-Rybnickim (adwokat Radwański).

Z chwilą tego nowego ruchu ludowego rozpoczyna się nowa epoka odrodzenia Ślązka... Może jej ani p. Szmula nie przewidywał, ani jej sobie też życzyli ci, którzy pana Szmulę zwalczali, ale bieg wypadków i okoliczności spowodował to, iż nowe życie, rozbudzone wśród ludu, wykwitło właśnie z tych politycznych walk i zamieszek. Fakt ten pozostanie bądź co bądź faktem historycznym.

Godne przypomnienia są też słowa, które p. m. Szmula wypowiedział wobec ministra przy obradach nad etatem ministerstwa oświaty dnia 4 marca 1896 r.:

„Pan minister mówił także o niemieckiej kulturze na G. Ślązku. Mości Panowie, nikt przecież temu nie przeczy, że i niemiecka kultura tam jest. Ale któż wniósł najprzód kulturę tamdotąd? Czy to nie były klasztory? Czy to nie byli Piastowie? Czy ci ostatni nie sprowadzili tylu a tylu mnichów i czy różnoracy wielcy fundatorzy w Kamieńcu, Imielnicy, Czarnowąsach, Krasoborze (Grüsau), Lubiążu (Leubus) i t. d. nie wybudowali wielkich gmachów, nie wykarczowali lasów? A następnie w r. 1810 dobra duchowne zamieniono na świeckie, a rząd połknął te tłuste kąski! A dalej, Mości Panowie, czy i w innym względzie Niemcy sami kulturę na Ślązku zaprowadzili? Czy te miliony milionów ludzi, którzy w rolnictwie pracowali, którzy w głębokie podziemia i do szybów górniczych się spuszczali, którzy wielkie kominy hutnicze budowali, których wszędzie w lasach karczujących i pracujących widzimy, którzy kanały budują, którzy tysiącami do Saksonii się udają, którzy także kanał cesarza Wilhelma kopali, — czy to także nie są krzewiciele kultury? Czy to oni nie mieli udziału w kulturze? A jakże bywają ci ludzie traktowani?!“

Pan Major Szmula wygląda zdrowo i czerstwo, jakkolwiek w ostatnim czasie zmuszony jest leczyć się na serce. W myśl ludu górnoślązkiego niewątpliwie trafiając, życzymy razem z nim czcigodnemu posłowi na dzień ukończenia 70 lat życia polepszenia w zdrowiu i wszelkiego błogosławieństwa przy schyłku pracowitego i pożytecznie spędzonego żywota. *Br. Koraszewski.*

Poezya górnoślązka.

Skreślił

Bronisław Koraszewski.

(Dokończenie.)

Ilu jeszcze takich domorosłych pieśniarzy mamy, o tem można choć w przybliżeniu przekonać się z wydawnictwa bytomskiego „Katolika“: „*Pieśni polskie używane na Górnym Ślązku*“. Pieśni te zebrał p. *Józef Gallus*, współpracownik w drukarni „Katolika“, który wogóle jako syn ludu górnoślązkiego i na innem polu dla oświaty swych braci wiele uczynił.

W zbiorze rzeczonym spotykamy się także z poezyą kobiety ślązkiej. Anna Drost, żona hutnika ze wsi Dębu pod Katowicami, tak sobie nuci:

Jestem sobie Polka
Z górnoślązkiej matki —
Dumnam, choć pochodzę
Z małej wiejskiej chatki.

Choć żyję w zaciszu
Mojej skromnej chaty,
Oddycham swobodniej
Niż wiejskie magnaty,

Którzy w swych pałacach,
Złocistych pokojach,
O Bogu nie myślą,
Lecz o modnych strojach.

Ja zaś do kościoła
Idę w wiejskiej sukni,
I Bogu pieśń nucę,
Jakoby na lutni

W mej ojczystej mowie,
Którą kocham szczerze
I za nic nie oddam,
Wrogowi w ofierze.

Choćby przyszedł szatan
Ze swoją chytrością,
W obronie mej mowy
Stanę z zawziętością.

Będę bronić wiary,
Póki będę żyła,
Aby polska mowa,
Nigdy nie zginęła!

Muszę zdążać do końca mojej pracy, przeto przytaczam tylko jeszcze piosnkę, którą wszystkie Towarzystwa nasze śpiewają, a którą ułożył i ogłosił w „Katoliku“ „robotnik Michał od Bytomia“. (Melodya „Piękna nasza Polska cała“):

W górę serca, bracia mili,
W górę, w górę, każdej chwili!
Chociaż ciężki los nas gniecie,
Aleśmy tu żywi przecie!
Górne Slązko jest, jak było }
I da Pan Bóg, będzie żyło. } powtarza się.

Były czasy, żeśmy spali,
Więc też o nas napisali:
„Że Odraki lud zniemczały“,
Z czego nam ubyło chwały.
Ale z tem tak źle nie było;
Żyje Slązko, będzie żyło!

Wszak o Slązku Bóg powiedział:
„Polski lud tam będzie siedział!“
Więc gdy Pan Bóg tak przeznaczył,
Któżby to wspak przeinaczył?
Takie Boskie nakazanie:
Wola Boża niech się stanie!

Zerwij z dębu gałąź małą,
Chuchaj, dmuchaj, obłep całą;
Próbuj, czy się — sosną stanie?
Czekaj — na niedoczekanie!
Bo dąb dębem — sosna sosną,
W lato, jesień, zimą, wiosną!

Choć nam ciężko, to nie szkodzi,
Bo po różach nikt nie chodzi;
Mając dobrze w każdej chwili,
Wnetbyśmy się rozpieścieli;
Przez niedolę hartowniejsi,
Będziem pewnie i mocniejsi!

Kochać Boga i swą ziemię
I współbraci, swoje plemię;
Działać szczerze, żyć przykładnie:
To szlachetnie, zacnie, ładnie!
Tak pragniemy, wspomóż Boże!
Bo, prócz Ciebie, któż pomoże?

A więc w górę, bracia mili,
Serca w górę każdej chwili!
Gdy Bóg z nami: myśl wesoła
Niechaj nam rozjaśni czoła!
Górne Slązko jest, jak było,
I da Pan Bóg, będzie żyło.

Twardzi byli cni ojcowie,
I my twardzi, co się zowie!
Błądzi ten, co ma nas z ciasta;...
I tak dalej; na tem basta!
Bo w Ślązaku taka dusza,
Że choć umrze, to się rusza!

i drugą, którą wyczytałem swego czasu w „Nowinach Raciborskich“:

Polska mowa święta, święta ukochana,
Z matki ust przejęta z mlekiem jej wyssana!
Milej nam niż dzwonki, dzwonią Twoje dźwięki,
Za to też winniśmy Panu Bogu dzięki.

Ludzie się uwzięli wytępić Cię wszędzie,
Ale pewnie z tego, da Bóg, — nic nie będzie.
Bieda nam, ach bieda, z tą niedolą nową,
Że nas ciągle trapią obcą jakąś mową.

Trapią ci nas, trapią od nocy do rana,
Ale polskiej duszy nie zmienią, oj dana!
Wiele wody w Odrze, w Wiśle jeszcze więcej,
Wiele z niej upłynie, niż nas zniemczą Niemcy.

Cieszcie się Panowie wyrazami swemi,
My zaś w ojców mowie Boga chwalić chcemy.
Kujcie nas jak chcecie, nic nie wykujecie,
O ślązkie żelazo młot swój rozbijecie!

Gdy mi stanąć przyjdzie u wieczności progu,
Wtedy polską mową polecę się Bogu,
I gasnącym głosem wyrzeknę w pokorze:
„Grzesznej mojej duszy, bądź miłościw Boże!“

Takie to pieśni śpiewa nasz lud górnoślązki *i sam je sobie układa.* I ten to lud nazywają przeciwnicy nasi „wasserpolakami“. Niechże sobie nazywają, ale „pieśń gminna“ będzie stała, mówiąc słowy Mickiewicza, „na straży narodowego pamiątek kościoła“ i nie pozwoli Ślązakom zaginąć, bo jak słusznie powiada niewygasłej pamięci ksiądz Damroth:

Pędzą jak na skrzydłach lata,
Giną, jak w odmętach wody,
Z niemi upadają świata
Państwa, ale nie narody,
W których sercach nie wygasło
Ulubione ojców hasło:
Kochajmy się! Kochajmy się!

Z TYGODNIA.

Niedawno doniósł Europie telegram z Petersburga, że kolej zabajkalska wykończoną została, a zatem Rosya połączoną jest obecnie siedem tysięcy wiorst wynoszącym torem kolejowym bezpośrednio z Władywostokiem na Cichym Oceanie. Kolej ta, jedyna w całym świecie do swej długości, została rozpoczętą przez ówczesnego następcę tronu, dzisiejszego cara Mikołaja II w r. 1891. W niespełna 9 lat dokonano olbrzymiego dzieła, które umożliwi Rosyi pchnięcie się w głąb Azyi. W trakcie budowy toru Rosya zdołała wyprzeć z Chin wpływy angielskie, opanowała niepodzielnie pół Azyi i rozpostarła swe wpływy aż po samo serce Chin, po Pekin. Obecnie odnoga kolei tej rosyjskiej przeprowadzoną zostanie aż do Pekinu. Po jej wybudowaniu będzie carat panem całych Chin i przystąpi zapewne do ostatecznej rozprawy z Anglią o posiadanie całej Azyi.

Przedwstępnemi niejako krokami ku temu byłoby stworzenie konkurencyi monopolowi, jakim władają Anglicy na polu telegraficznego połączenia Azyi z Europą. Już zawiązała się podobno francuzka kompania, która korzystając z przeprowadzonej z krańcami Azyi komunikacyi lądowej chce założyć sieć telegraficzną lądową, którąby konkurując z angielską, stworzyła komunikacyą z posiadłościami francuzkiemi w Azyi.

Noworoczne przyjęcia monarsze nie budzą tym razem żadnego zajęcia. Cesarz niemiecki, przyjmując ministrów wyszczególniał zwłaszcza p. Podbielskiego. Podbielski, naczelny sekretarz stanu, zarządzający pocztami, odznaczył się w ostatnich czasach przesiedleniem urzędników Polaków z Poznania i kilku miast Księstwa do Niemiec. Wątpimy, aby tem zasłużył sobie na specyalne wyszczególnienie. Kilka dni przed nowym rokiem darował cesarz Podbielskiemu swój portret z własnoręcznym pochlebnym przypiskiem.

Do oficerów załogi berlińskiej przemówił cesarz Wilhelm z wielkim ogniem, zaznaczając, że korpusowi oficerskiemu nie wolno zasypiać na wawrzynach, odwyknąć od czynnej pracy, marnieć w zbytkach. Upatrują tu niektóre gazety aluzyą do tego, że w licznych procesach wykazało się jak bardzo dużo szulerów i hulaków jest oficerami.

W mowie cesarskiej nie brakło też wzmianki i o parlamencie. Wspomniał cesarz, że dziad jego reorganizował armią nie oglądając się na parlament. „A co mój dziad uczynił dla armii, to ja znowu, nie oglądając się na nic, uczynię dla marynarki i będę ją reorganizował, aż stanie na równi z armią lądową i zajmie zagranicą takie stanowisko, jakiego jeszcze nie miała.“ W połączeniu armii i marynarki upatrywał cesarz zadatek i gwarancyą potęgi Niemiec i na potędze miecza ją ugruntować postanowił.

Liberalna prasa niemiecka nie jest zadowolona z tego, co cesarz powiedział o „nieoglądaniu się na nic,“ gdyż dopatruje się w tem groźby konfliktu z parlamentem. Przewidują one, że asumpt do mowy powyższej dała cesarzowi wątpliwa wobec projektów marynarskich postawa parlamentu.

W Austryi nowy gabinet wydał już na podstawie § 14 nowe rozporządzenia i parlament odroczył. Zaczęła się więc era rządów bez parlamentu. Zresztą parlament sam temu winien. Przewidują niedługie życie tego gabinetu, po którym nastąpić ma gabinet parlamentarny. Nikt by jednak za złe nie mógł wziąść steranemu wiekiem i wypadkami cesarzowi Franciszkowi Józefowi, gdyby znudzony tem ciągłem bawieniem się w ciuciu-babkę ze strony parlamentu wogóle na czas dłuższy pozostawił go bezczynnym.

W Wiedniu w zeszłym tygodniu stracono przez powieszenie niejaką Hummlową, która do wspólki ze swym mężem, tak katowała biedną swą córeczkę, że maleństwo zmarło. Cesarz wyrok śmierci potwierdził — dla przykładu i z pewnością przykład ten podziała zbawiennie.

W Paryżu proces o zdradę stanu zakończył się skazaniem głównego oskarżonego Deroulede'a, z przyznaniem okoliczności łagodzących, skazanym też został i Guerin, który bronił się przeciw policyi paryskiej parę tygodni, nie pozwalając dostąpić do swego mieszkania na ulicy Chabrol, które z tego powodu fortem Chabrol nazwane zostało.

Poznańscy aptekarze uskarzają się, że władze pruskie konfiskują znajdujące się w ich aptekach tytki i t. d. z napisami polskiemi. Nawet fachowa „Apotheker Ztg.“ nie chce dać temu wiary, sądząc, że w kraju, gdzie lud mówi innym językiem niż niemiecki i w tym innym języku powinny być napisy „trucizna“ i t. d. dla uniknięcia wypadków.

Ha! widać, że u nas o rzeczy niepodobne nie trudno!

Do rzędu takich niepodobieństw zaliczyć można postąpienie policyi w Siemianowicach na Górnym Slązku, która udzieliła pozwolenia towarzystwu polskiemu na teatr, ale tylko w sali p. Schwetzera, zaś panu Schwetzerowi zabroniła Polakom wypożyczyć sali.

Oto się nazywa zręczność pruska!

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Rozbitki wśród narodów Europy a tułacze na własnej naszej ziemi, stoimy oto u progu nowego stulecia. Wzrok nasz zwrócony ku przyszłości, a ucho nadsłuchuje bacznie nauk i doświadczeń przeszłości. Ta przeszłość, brzemienna w gorzką naukę krwawych dni, wymownie przemawia do serc naszych. Nie dość, że pozbawiono nas własnego bytu, a kazano żyć życiem innych państw i narodów, uczyniono jeszcze wszystko, aby wydrzeć z serc naszych to, co cechuje nas jako narodową jednostkę.

I oto wiek cały toczy się nierówna walka o schowane w skarbnicy dusz naszych talizmany. I z ostatnim wysiłkiem bronimy tych skarbów naszych przed brutalną przemocą... Dokądże tej walki? — O nie łudźmy się, bo nie ustanie ona, dopóki nie zbraknie jej przedmiotu. Nie łudźmy się, że przeciwnik dobrowolnie wstąpi na drogę moralności publicznej i spokoju zapragnie: spotęguje on raczej swe zamachy, gdy ujrzy, że ofiara jego jeszcze żyje i poddawać się nie myśli...

Smutne też były myśli, które w minione święta „pokoju“ i „miłości“ przepełniały dusze nasze. Wymownym dowodem tych przykrych refleksyi są głosy prasy.

Korespondent poznański **„Nowej Reformy“** pisze o stosunkach w naszej dzielnicy:

> „Łzawą jest więc nasza radość wilijna tak, jak łzawe jest nasze życie, które na swej szarej kanwie snuje prawie tylko ból, żal i smutek, rozpacz nieledwie, w których promyków jaśniejszych tak mało! I właśnie w dzień, w którym cały świat rozbrzmiewa radością i weselem, twarda dola nasza tem wyraźniej staje przed oczyma, tem boleśniejsze w sercu naszem budzi echo, żeśmy takimi nędzarzami świata, tak biedni, upośledzeni, tak nękani i torturowani, jak żaden inny naród na świecie, my, którzyśmy przez wieki chadzali w królewskiej purpurze, przed którą kornie schylali czoła nasi dzisiejsi ciemięzcy i kaci, my, których zwycięzkie znaki widniały na murach Chocimia, Kijowa, Smoleńska, Koldyngi i Wiednia, my dziś odarci z wszystkiego, nawet równać się nie możemy z prostackim narodkiem, tam hen na południu Afryki, który z bronią w ręku potężnego gromi wroga. My, wielki, kulturny naród, z wielką, wspaniałą, pełną chwały przeszłością, my nie mamy pokoju nawet w domowych pieleszach; wróg, który nam broń wytrącił z ręki, odziera nas z resztek łachmanów, które nam pozostały z dawnej świetności, język nam wyrywa, serce zatruwa, aby i śladu po dawnych panach tej ziemi nie było.
>
> „Nie dosyć na tem, że nas system w żelazne ujął kleszcze, paczy wychowanie naszej młodzieży, a u dorosłych tłumi każdy swobodniejszy objaw uczucia polskiego w naszych towarzystwach, na zebraniach, wdziera się do naszych domów i kościołów; — jeszcze obok niego zjawił się rząd poboczny z krzyżackiego ducha Bismarckowego poczęty, który pragnie nas pozbawić resztki materyalnego i duchowego mienia pol-

skiego. Prowadzi przeciw nam niebywały w historyi ucywilizowanych narodów bojkot ekonomiczny, setkami rujnujący naszych kupców, przemysłowców, lekarzy, tak, że trudno przewidzieć, na czem to się skończy. Specyalnie do hecy antypolskiej wynajęta prasa głosi w całych Niemczech krucyatę przeciw nam na całej linii; wojna wydana naszemu właścicielowi ziemskiemu, duchownemu, mieszczaninowi, chłopu, inteligencyi, nawet nasi biedni wychodźcy, którzy, wyrugowani z ojczystej ziemi, idą za chlebem i tysiącami rozlali się po niemieckich prowincyach, doznają tysiącznych prześladowań, że się nie chcą wyprzeć swej narodowości."

Lecz wszystkie te ataki ducha w nas nie zatrują, sił do walki nie odbiorą, broni z ręki nie wytrącą. Wyleczyliśmy się z marzeń o zwycięztwie wielkiej idei sprawiedliwości wśród wrogów, którzyby pod jej wpływem cofnęli wymierzone przeciw nam ciosy. Nauczyliśmy się wierzyć tylko we własne siły i cenić tylko to, co mamy istotnie z siebie, cośmy zdobyli mozolną, ciężką pracą. Nie z zewnątrz szukać nam ratunku, lecz upatrywać źródeł jego w udoskonaleniu własnem, w uświadomieniu szerokich mas ludu. Poczucie tych prostych prawd, rozprzestrzenienie ich w całym narodzie — oto duchowy nasz dorobek ubiegającego stulecia.

Pozwolimy sobie przytoczyć tu pogląd **„Dziennika Poznańskiego"**:

„Smutny i ponury jest pogląd na wiek naszej niewoli i niedoli pod względem politycznym. Wszędzie zawody i niebezpieczeństwa piętrzące się, wszędzie siły nieprzyjazne wzrastają a nasze słabną, ale z małemi wyjątkami trwa przecież u nas poczucie obowiązku do wytrwania na wyłomie narodowym do ostatniego tchnienia. Jakkolwiek nie doszedł do prawidłowego stanu, wzmógł się jednak zmysł polityczny i umie z męzką odwagą stawiać właściwsze niż dawniej zapory przeciwnościom i przeciwnikom.

„Może nam się zdawać nawet, że osłabliśmy jako żywioł polityczny czy to przez nierówne bezowocne porywy, czy to pod naciskiem olbrzymiej przewagi państw i społeczeństw nam wrogich, ale wszelkie objawy rzekomego osłabienia równoważy na naszą korzyść jeden objaw elementarny, podstawowy dla politycznego znaczenia i wpływu, t. j. ciągły wzrost liczebny Polaków.

„To jedna nasza pociecha z wiekowego poglądu. A druga niemniej ważna, że obywatelska i polityczna świadomość z wyżyn społeczeństwa zstąpiła do mas narodu i już nie przodujące dawniej stany, ale cały nieledwie naród woła: jestem polskim i pozostać chcę tem, czem mnie Pan Bóg stworzył. Ten właśnie opatrznościowy postęp, największą w nas budzić może otuchę, skoro ubytek w przodujących stanach, zapełnia się przez liczniejsze zastępy nowo powstających obywateli.

„To jest wielka i największa zdobycz nasza z ubiegającego wieku."

I w tem jedyna lepszej przyszłości dla nas zapowiedź, że do tej Polski, która dziś synom swoim nic nie daje, prócz cierpień — coraz więcej przyznaje się synów, a miłość ku niej coraz szersze zatacza kręgi. Więc dumni być możemy z tego, że jesteśmy synami nieszczęśliwego narodu, który idzie na przebój z podniesionem czołem, czując iż nadeszła godzina, kiedy dusza ludu budzi się z uśpienia, kiedy szeregi się zwiększają, a wielkie hasło, rzucone w milionowe szeregi, nie przebrzmiewa bez echa.

Dojrzewamy w niewoli. Może ztąd nabierzemy większego hartu woli i siły, wzmocnimy charaktery, spotęgujemy karność społeczną...

Daj to Boże!...

Omawianie spraw politycznych zajmuje prasie naszej tyle miejsca i czasu, że brak jej sposobności sięgnięcia do innych dziedzin życia i oświetlenia społecznych jego braków.

Dlatego też nie zawadzi od czasu do czasu zajrzeć do naszej prasy galicyjskiej i zakordonowej, której łamy nie są tak dalece przepełnione polityką, z powodu że pierwsza nie przebywa, jak my, epoki walki politycznej w obronie bytu narodowego; — druga, że jej komentować naszego położenia politycznego nie wolno.

Z ważną kwestyą spotykamy się na łamach lwowskiej **„Gazety Narodowej"** — z kwestyą pomagania ubogim:

„Prawdziwie ubogi ma zawsze dwóch nieprzyjaciół: obojętnych oficyalistów administracyjnych i fałszywych biednych. Jeżeli osobiście się zajmiemy i zaopiekujemy paru ubogiemi rodzinami, to znikną nadużycia i zdemaskowani będą udający biednych. Nie trzeba się tłomaczyć brakiem czasu, bo go zbraknąć nie powinno na rzeczy pierwszej wagi. Nie należy także obawiać się, że nie potrafimy rozmawiać z ubogimi, bo kto ma serce i uczucie, to i słowo dobre znajdzie się łatwo.

„A jak odszukać te biedne rodziny? — zapyta kto może. Bardzo łatwo drogę do nich znajdziemy, bo ich mieszkania nie są zamknięte, nie pilnują ich odźwierni, ani służba w przedpokojach. Pierwsze lepsze blade i chorowite dziecko, spotkane na ulicy lub wynędzniała kobieta, która o nic jednak nie prosi, doprowadzą nas do nich. Mniej ufać można tylko żebrakom, piskliwie wyciągającym rękę.

„Jest jeszcze inny sposób, bardzo prosty, odszukania prawdziwie biednych. Kupując cokolwiek z bielizny czy ubrania, tanie jakie fartuszki lub chusteczki dla dzieci, rozpytać się tylko trzeba i wywiedzieć dokładnie: kto je szył i robił, gdzie mieszka i jak się nazywa. Pokaże się wtedy, ile jest kobiet i młodych dziewcząt, ginących powoli z wysiłku i niedostatku, schylonych dnie i noce nad igłą, czy nad maszyną, zajrzyjmy do nich i przypatrzmy się, jakim kosztem życia ludzkiego i ilu łzami okupują się te piękne stroje, te suknie i hafty.

„Biedni wszyscy zdają się do siebie podobni, ale przypatrzywszy się im bliżej, odnajdujemy całą historyę ich życia, walk smutków i kłopotów. Ujrzymy wówczas ludzi podobnych do nas, spragnionych więcej jeszcze miłosierdzia niż chleba. I tak powoli zapoznamy się z obcym nam dotąd światem."

Do słów powyższych jeszcze jednę dodajemy zachętę: nie poprzestając na tem, co możemy wyświadczyć dobrego biednym, pamiętajmy i o tem, co oni w zamian nam dać mogą. Przykład ich nauczy nas, jak można być zadowolonym z życia. Niepewność naszej przyszłości trapi nas nieustannie — nie będzie zatem bez korzyści przypatrzeć się tym, co są jej pozbawieni i żyją z dnia na dzień. Tylu ludzi żyje bez skargi na ustach, nie mając ani kapitałów, ani nic, coby mogło zapewnić im spokojną starość, a dzieciom byt niezależny, a pomimo to cieszą się oni dniem takim, gdy im nie dokucza głód i zimno. Czy, patrząc na nich, nie uczymy się jak należy godzić się z przeciwnościami?

B. M.

Metropolia nasza.

Wyłomy, jakie kulturkampf w dyecezyach naszych poczynił, jeszcze się nie zapełniły i nie tak prędko się zapełnią.

Statystyka kościelna w Niemczech wykazuje, że najliczniejsze parafie są w dzielnicach polskich, a przy tem największy brak kapłanów.

Podczas gdy w dyecezyach bawarskich na jednego księdza przypada przeciętnie wo 800 dusz, u nas liczba ta znacznie jest wyższą, bo, po odliczeniu emerytów, jeden kapłan ma duszpasterstwo w archidyecezyi poznańskiej nad przeszło 1900 duszami, w gnieźnieńskiej nad 1850; ten sam stosunek panuje w dyecezyi chełmińskiej.

W niemieckich zaś okolicach pozwolono, choć w nader ograniczonej liczbie, osiedlać się zakonnikom, którzy w pracy parafialnej świeckim kapłanom są pomocnymi, u nas wzbroniono zakładać klasztory męzkie w ogóle, a duchowieństwo nasze, wskazane tym sposobem na własne siły, z największem wytężeniem pracować musi, aby spełnić zadanie swe, w warunkach naszych aż nazbyt utrudnione.

Liczby poniższe świadczą o tem wymownie. Rubrycela na rok 1900 wykazuje następujące dane:

Na czele obu archidyecezyi, gnieźnieńskiej i poznańskiej, stoi Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup Floryan O k s z a S t a b l e w s k i, doktor św. teologii, legat urodzony, hrabia rzymski i t. d. Najdostojniejszy nasz Ks. Arcypasterz jest w rzędzie Biskupów poznańskich 88-mym, a od założenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i poznańskiego 1821 roku, 6-tym Arcybiskupem. Biskupem Sufraganem dla dyecezyi poznańskiej jest Najprzewielebniejszy Ks. Dr. Edward L i k o w s k i, Biskup aureliopolitański; dla dyecezyi gnieźnieńskiej Najprzewielebniejszy Ks. Antoni A n d r z e j e w i c z, Biskup filomelieński.

Archidyecezya poznańska liczy 866,607 dusz, gnieźnieńska 412,046 dusz; razem 1,278,652.

Kościołów parafialnych jest w archidyecezyi poznańskiej 346; filialnych i sukursalnych 100; oratoryów i kaplic 86; altaryi 67. Księży zapisanych 470; zakonnic 237. Zmarło księży 12.

Najstarszym kapłanem jest ks. Grodzki Leopold w Skokach, mający 80 lat wieku.

Największe parafie liczą dusz: św. Marcina w Poznaniu 15,000; Ostrów 13,900; Odolanów 12,370; Fara poznańska 12,210; Bożego Ciała w Poznaniu 10,000; Śrem 9493; tumska w Poznaniu 9100; Kościan 9097; Szamotuły 8120; Buk 8120; Buk 8115; Kotłów 8110; Ostrzeszów 8040.

W archidyecezyi gnieźnieńskiej znajduje się kościołów parafialnych 200; filialnych i sukursalnych 32; altaryi 37; oratoryów i kaplic 54. Księży jest 255; zakonnic 70. Umarło księży 5.

Najstarszym kapłanem jest ks. Szypow Teodor w Brudzewie, ur. 1820 r.

Największe parafie liczą dusz: Bydgoszcz 21,500; Inowrocław 17,800; św. Trójcy w Gnieźnie 12,050.

Kleryków w obu seminaryach, poznańskiem i gnieźnieńskiem jest razem 116-tu.

Na czele dyecezyi chełmińskiej stoi Najprzewielebniejszy ks. Biskup dr. Augustyn Rosentreter w Pelplinie.

Dyecezya chełmińska liczy dusz 720 tysięcy 405. Księży jest 410; kleryków w seminaryum duchownem pelplińskiem 109. Najstarszym kapłanem jest ks. Machorski Stanisław, urodzony 1807 r.

Największe parafie liczą dusz: św. Mikołaja w Gdańsku 15,043; Oliwa 13,952; Panny Maryi w Toruniu 10,379; Śliwice 9285; Czersk 9012; Tczew 8782; Szotland 8758; św. Brygity w Gdańsku 8310; Wiele 8311; Chełmża 8095. *K. P.*

Głosy od przyjaciół.

Rawicz, dnia 4. 1. 1900.

Szanowna Redakcyo!

Ponieważ już od dłuższego czasu nie ujrzałem korespondencyi w „Pracy" ze stron tutejszych, hakatą przesiąkłych, przeto pospieszam, by skreślić choć słów kilka. Przedewszystkiem donoszę, że pierwszy akt tragikomedyi Rawickiej się skończył. — Oto ksiądz proboszcz Duliński opuścił Rawicz dnia 3 bm. powołany przez Najprzew. ks. Arcybiskupa na nowe stanowisko.

Ponieważ oszczercze języki donosiły swego czasu władzy duchownej, że ks. proboszcz Duliński nie umiał zyskać serca swoich parafian, zaprzeczamy temu stanowczo. Ks. proboszcz Duliński odjeżdżał żegnany uroczyście pożegnalnemi obchodami, a co największą ma cenę — łzami, naturalnie tych, dla których pracował i z którymi obcował. Że koła „naszych najserdeczniejszych", mianowicie tych, co nie mają odwagi przyznać się do wspólności z kościołem i narodem naszym nie żegnały ks. proboszcza z pełnemi puharami, pochodzi ztąd, że ks. proboszcz nie bywał uczestnikiem światowych zabaw, ale był cichym pracownikiem i gorliwym kapłanem. Ile zdziałał, dowodził oblężony konfesyonał, w którym przesiadywał nieraz do północy, chcąc wysłuchać wszystkich, oraz napełniony kościół i rozwój religijnych bractw.

Lecz najwięcej, przykładem swego życia bez skazy działał, i pociągał ku cnocie.

Żegnany łzami, kochany i błogosławiony przez wielu ustąpił z woli Najprzew. Ks. Arcybiskupa ze stanowiska trudnego, jakiem jest probostwo Rawickie — jak z Golgoty, do której wiodła go ścieżka ciernista. Niech Pan Bóg opromieni łaską swą dalszą drogę Jego życia! Lecz, jeżeli by kto myślał, że na tem koniec, to mylił by się grubo. Hakata wydobywszy ks. Dulińskiego z Rawicza — zarzuca teraz Najprzew. ks. Arcybiskupowi, że ks. Dulińskiego obdarzył jeszcze lepszem probostwem. Z tego widzimy najdobitniej, jakie wobec hakaty trudne stanowisko ma nasz Arcypasterz i całe Duchowieństwo.

To też każdy prawy Polak murem powinien stać przy Duchowieństwie!

Jul.

* * *

Słupia, pod Kępnem.

Szanowna Redakcyo!

Niedawno bawiłam u krewnych w Słupi. Ponieważ jestem stałą zwolenniczką i abonentką kochanej „Pracy" od lat paru — gdy przyszła niedziela pytam się krewnych — „a macie wy „Pracę?" Nie mamy, odpowiedzieli. No to inne jakie pismo?"

Ale gdzie zaś. Poczęstowali mnie Kalendarzem Maryańskim z roku 1895... Rozpytuję się więc czy kto tu we wsi trzyma „Pracę" i pokazało się, że nikt, a pism polskich wogóle przychodzi coś raptem dwa egzemplarze. Dziwię się doprawdy, że w takiej wielkiej wsi, jak Słupia, ludzie tak mało czytają gazet polskich. Jakże my mamy się rozwijać i iść naprzód z postępem, jeśli lud nasz nie dość garnie się do oświaty? A że uważam „Pracę" za najodpowiedniejsze pismo do rozbudzenia uśpionego ducha narodowego, więc sprowadziłam ze 20 numerów „Pracy" i rozdałam pomiędzy znajomych. Było to na jesieni. Jakież było moje zdumienie i jaka radość, gdy teraz, będąc na świętach u krewnych znalazłam zarówno u nich jak i w kilku znajomych domach „Pracę", którą wszędzie chwalili. Obecnie też i inne gazety sobie powoli zapisują. A ja się bardzo cieszę, że w ten sposób dorzuciłam choć aby cegiełkę do murów, któremi opasać się musimy przed napaścią dziczy hakatystycznej.

Wierna czytelniczka

M. S.

* * *

Wąbrzeźno, 1. 1. 1900.

Słyszałem tu dosyć często tak w mieście jak i w okolicy, że Polacy tutejsi odczuwają wielki brak adwokata Polaka. Mamy tu bowiem tylko jednego adwokata. Polacy zmuszeni są zatem posługiwać się pokątnymi pisarkami etc. i tracą na tem w najrozmaitszy sposób! — A tu były i są dwie bardzo korzystne posady adwokackie. Adwokat Polak miał by tu znakomite powodzenie, ponieważ obywatele miejscy i wiejscy są przeważnie Polakami, którzy by go doprawdy z radością powitali i wspierali. — Okolica bogata, bo to ziemia chełmińska — niby Kujawy w Poznańskiem — bardzo wydajna. Miasto liczy przeszło 60 tysięcy mieszkańców, robi wielkie postępy i ma jeszcze świetną przyszłość przed sobą!

L.

(Prosimy o częstsze listy, po koleji przyjdzie każdy do druku. Red.)

* * *

Z Górnego Ślązka.

Szanowna Redakcyo „Pracy"!

Oddawna już zamierzałem napisać list do Redakcyi, gdyż mnie to niezmiernie cieszy, że widzę, jak często i jak swobodnie o rozmaitych rzeczach piszą do „Pracy" jej czytelnicy. Przeczytałem otóż niedawno temu w jednym z numerów „Pracy„ przed świętami piękny artykuł „Swój k'swemu", gdzie wskazany jest przykład Czechów, jak przez jedność i wspólność działania, przez solidarność i wzajemne popieranie się, potrafią coraz bardziej się wzbogacać i zapracować sobie na przyszłość, jako naród samodzielny i pewny swych sił. Niestety zauważyłem mimowoli, jak wielki przedział nas jeszcze dzieli od tych Czechów. U nas niestety brak jeszcze przejęcia się tem przeczuciem, że wszystkie klasy w narodzie powinny tak dla dobra wspólnego pracować, jak zaprzężone do jednego woza konie; gdzie chodzi o to, aby wóz toczył się raźnie, tam nie ma różnic pomiędzy koniem rasowym, lub nie rasowym — bo tam wszyscy są sobie równi. I tak zamało u nas przyjęło się przekonanie, jak ważnym jest stan przemysłowy. Codzień prawie jesteśmy świadkami, że nasi przemysłowcy i kupcy — niechno się trochę dorobią — zaraz z synów swych starają się robić lekarzy, adwokatów, a nigdy przemysłowców. A tymczasem nam właśnie brak tych zdolnych, inteligentnych przemysłowców, którzy by już we krwi niejako mieli tradycye kupieckie i przemysłowe i mogli być przewodnikami całego stanu. Inteligentny doktor, nauczyciel lub adwokat, ani dziesiątej części nie zdoła przysporzyć tego społeczeństwu, co inteligentny przemysłowiec. A takich my możemy liczyć na palcach, podczas gdy w innych społeczeństwach, w czeskiem i niemieckiem — ten właśnie inteligentny stan przemysłowy jest najbogatszym i dostarcza najwięcej bogactw całemu krajowi.

Te uwagi nasuwają mi się, gdy zestawiam rozmaite poczynione w życiu doświadczenia. Sam jestem przemysłowcem — a że niezgorszym — to już najlepiej świadczy powodzenie, jakiem się cieszę, — obracałem się wśród różnych klas naszego społeczeństwa i wszędzie spostrzegłem, że nas się dzieli na dobrych, lepszych, mniej dobrych i zupełnie dobrych — dziwna rzecz! — nie podług wartości charakteru lub umysłu, ale podług zawodu. Krawiec uważa się za lepszego od szewca, właściciel krami-

ku od krawca, kupiec od handlarza, a bodaj nawet handlarz wołów uważa się za lepszego od handlarza nierogacizny.

Zanim osiedliłem się tu na Śląsku, (w Opolu) dużo słyszałem skarg na tutejszych Polaków, że mało, lub wcale nie popierają swoich. Obecnie przekonałem się na własnej skórze, jak mało można liczyć na poparcie rodaków. A zazwyczaj dzieje się to dla tego, że każdy sądzi, że jak da do rzemieślnika Polaka co zrobić, to już ma za to prawo do dozgonnej wdzięczności i stał się dobrodziejem jego, a wskutek tego mimowoli sądzi, że coś niejako na ofiarę złożył. Tymczasem rzemieślnik i przemysłowiec Polak nie gorzej go obsłuży niż Niemiec, a zawsze to dobrze pamiętać przysłowie: „ręka rękę myje“. Dlatego też niech kochana „Praca“ często wraca do tego przedmiotu, bo nam bardzo a bardzo jeszcze potrzeba prawdziwego zrozumienia, że równi jesteśmy obywatele jednej matki — i że handel i przemysł polski nie kopciuszkiem — ale bratem innych klas i zawodów być powinien.

Z szacunkiem *W. S.*

* * *

Z Galicyi.

Wielmożna Redakcyo „Pracy“!

Korzystam z kilku chwil wolnych, aby skreślić słów kilka z tych stron moich — czytelnikom „Pracy“ zapewne mało znanych. Jeżeli by kto się pytał mnie o sąd o Galicyi, to bym przedewszystkiem odpowiedzieć musiał, że dzieje się tu dużo tylko na papierze, i że nigdzie bardziej jak tu nie występuje na jaw nasza wada narodowa, że jesteśmy „mocni w gębie — ale słabi w dłoni“. Naprzykład czytamy tu w naszej wsi, Zawoi, oprócz „Pracy“ — „Głos Narodu“ z Krakowa. Niektóre artykuły tego pisma doprawdy pod niebiosa wynoszą tutajsi obywatele, ale pomimo to ciągną do żydów, których w naszej wsi, liczącej 5,240 dusz, mamy 11 karczmarzy i rodzin pachciarzy. Gdy trzeba mówić o popieraniu swoich i t. d. — tam nasze zuchy są pierwszymi — a pomimo to, jak przyjdzie co do czego, to okazują się słabi, że w swem ręku ich każdy arendarz jak wosk urobi.

U ludu tu nędza olbrzymia. W roku bieżącym wychodztwo do Ameryki bezwarunkowo się wzmoże i ludu namarnuje. Całe setki rok rocznie chodzą z każdego obwodu za granicę, a tam „w Prusach i Saksach“ (jak oni nazywają) dziczeją do reszty i niemczeją. Tutaj nieraz się pytają: „Czy fater doma?“ lub — „podaj mi westę“ i t. d.

Podobno teraz w sejmie galicyjskim mają być obmyślone środki uregulowania spraw emigracyi — a ku temu ma jako podstawa służyć dokładna statystyka emigracyjna.

Donoszę zresztą, że jakoś bardzo długo daje na siebie czekać obiecane poprawienie losu nauczycieli ludowych w Galicyi.

Z szacunkiem

B. G. — (Zawoja.)

* * *

Berlin.

Kochana „Praco!“

Pospieszam donieść dobrą nowinę: oto że tu w Berlinie, między wychodźcami, „Pracę“ coraz częściej spotkać można. Podczas świąt w każdym domu widziałem „Pracę“, co mi było wielką radością, bo jestem jednym z najdawniejszych czytelników i dużo „Pracy“ zawdzięczam. W kilku domach zapisali sobie „Pracę“, co dawniej żadnego pisma polskiego nie czytywali i nie brali do ręki chyba tylko „Local Anzeigera“.

Najbardziej podoba mi się w „Pracy“ to, że ona jest jednakowo przystępną dla każdego, aby tylko był dobrym Polakiem. Jest to jakby wspólny list od wszystkich do wszystkich a co najbardziej cieszy nas wychodźców — to że raz po raz spotykamy wiadomości o Polakach rozsianych po całym świecie. Dziś

Szklanka wody.

Zdarzenie prawdziwe z 1831 roku.

Śród lip, z liści odartych, w płaszcz z śniegu owity,
Stoi domek na wzgórzu, na pół w ziemię wryty.
Niebo we mgle, czasami tylko pomrok rzadszy,
Wtedy okno tęsnemi łzami w słońce patrzy,
Aż znów światło się kryje, a u bladej szyby
Łzy w srebrne kwiatki zmarzną, lub perliste grzyby.

Gdzie ledwie słychać było trzask z bicza pastuszy,
Lub jęk dziada w samotnej odzywał się głuszy,
Dziś brzęk broni, kół turkot, rozgowor i wrzawa,
Dziś wódz ruski ze sztabem kwaterą tam stawa,
Wszedł kniaż wirtemberski w cichy próg plebanii,
Za nim starsi, w złociste mundury ubrani.

„Gdzie jest pop?“ kniaż zapyta. Ksiądz wejdzie z podwórza,
I wiedzie go do izby, choć się serce wzburza.
Książę zrzuca płaszcz szary, siada do komina,
Przy nim stoi w milczeniu gwiaździsta drużyna;
Książę nogi wyciągnie, rozeprze się lepiej,
W blade lica plebana bystre oczy wlepi.

„Popie, rzecze, co nas tak przyjmujesz ochotnie,
„Pewnieś liczył psów Lachów buntownicze sotnie,
„Skaż-że mi ty po prawdzie, w jak wielkiej czeredzie
„Ten wasz straszny Dwernicki na Moskala jedzie,
„Skaż ile ma pukawek, gdzie i jak daleko
„Sławne polskie rajtary błotami się wleką?“

„Jenerale! odpowie ksiądz carskiemu słudze,
„Uszów waszych wojenną nowiną nie strudzę;
„Pośród trzodki duchownej, biedny sługa Boży,
„Czytam w ciszy mój brewiarz, szczęk broni nie trwoży;
„Nie rzecz moja orężne rachować szeregi,
„Lepiej o tem brodate doniosą wam szpiegi.“

Kniaź brwi zmarszczy, lecz w gniewu wstrzyma się zapędzie,
Tylko mruknie i wstanie, lecz znowu usiędzie,
I zamilknie na chwilę, groźny niemym gniewem,
Jako wicher nad leśnym bujający krzewem,
Rzecze w końcu: „Gdy nie chcesz wskazać lasze szlaki,
„Daj wody, wody dadzą i wrogom Polaki.“

Pleban wyjdzie do sieni, wraca z szklanką w ręce,
I stawia ją na stole przed oczy książęce,
Książę szklanki nie bierze, lecz ją w ręku trzyma,
A na księdza się patrzy bystremi oczyma,
Jak jastrząb, co nim z góry na kurczę uderzy,
Waży nad niem się zdala i wzrokiem je mierzy.

Rzecze wreszcie: „Czy widzisz tę szklankę na stole?
„To Polszcza, co na Moskwę wyruszyła w pole,
„Mała, licha, cesarstwa wielkiego poddanka,
„Gubi się w niem, jak ta ot pośród stołu szklanka,
„Której cały świat wyżłem u stóp legnął z dawna,
„Zgniecie ją jak robaczka Moskwa prawosławna!“

Głośnym śmiechem parsknęła świta księcia pana,
Ten zaś okiem badawczem śledził wciąż plebana,
Jak żołnierz, co gdy podsyp u działa zapali,
Patrzy rychło śród dymu szereg się powali,
Lecz daremnie kniaź czekał w twarzy jego zmiany,
Na szyderstwa tak odrzekł kapłan niezmięszany:

„Prawdać większa od Polski Moskwa, stół od szklanki,
„Ale śmiało dziś pierwsza z drugą wchodzi w szranki,
„Mała Polska olbrzyma w posadach zachwieje,
„Szklanka wody rozlana cały stół zaleje!“
Na te słowa kniaź krzyknie, pieniąc się od złości;
„Związać popa! niech ruskich popamięta gości!“

I już wiodą kapłana, wtem wbiegnie ze dworu
Zadyszany oficer z tyłu od taboru:
„Dwernicki tuż za lasem!“ rzecze. Wódz powstanie,
I po chwili do marszu wzywa trąbki granie.
Nim pierwszy ułan wyjrzał z poza lasu krańców,
Wielka armia pierzchnęła przed garstką powstańców!

D. L.

w Berlinie niema ani jednego towarzystwa, któreby nie uważało „Pracy“ za swój najlepszy organ. A tak się wszyscy przyzwyczaili do tego kochanego pisma, że raz gdy mi „Pracy“ nie przysłała poczta, to mi tak było jakby głodny chleba pragnął, że po powrocie z pracy, choć zmęczony, poszedłem z Reichenbergerstrasse na Wedding do znajomego, aby pożyczyć numeru.

„Praca“ obudzając tęsknotę do kraju ojczystego, uśpioną nie raz w sercu Polaka, niejednego pobudza do powrotu i uratuje w ten sposób jego dziatki dla narodowości naszej. Bo dzieci tutajszych Polaków niestety tak się niemczą, że aż płacz zbiera. Na palcach by można policzyć te dzieci, co rzeczywiście po polsku są wychowane, a jeśli już zdarzy się taka dziecina, co z pamięci bajkę Jachowicza może wypowiedzieć po polsku — to ją gotowi wystawiać na zebraniach na pokaz jako dziwo. Jest to bardzo smutne, że o dzieciach tak mało się dba, ale nieraz to i trudno brać za złe. Jeśli matka i ojciec pracują po za domem, to dzieci po wyjściu ze szkoły parę godzin tułają się na ulicy i nie mają gdzie nauczyć się po polsku.

Pod tym względem to już chyba nigdy poprawy nie będzie.

Pozdrawiam serdecznie wierny czytelnik

J. Opończewski.

Epizod z roku 1831.

Napisał *G. W.*, weteran i przyjaciel „Pracy.“

(Ciąg dalszy.)

Ryknęły działa, co na nienawykłych powstańcach, ludziach po większej części prostych, ogromne zrobiło wrażenie. Ogień trwał nieustannie, i.... aż smutno powiedzieć!... ale przebaczyć należy niedoświadczonej młodzieży, która wreszcie widoczną widziała przed sobą zgubę. Jeden po drugim rzucali broń, i znajomemi przesmykami rozbiegali się w lasy, ratując życie i wolność.

Ogień ze strony powstańców słabnął coraz więcej, aż nareszcie został sam jeden Szarkowski tylko. Sam jeden, nieustraszony, pełen odwagi, wolał zginąć, niżeli cofnąć się przed nienawistnym wrogiem.

Rzadki to dowód w takim razie męztwa i wytrwałości, bo jak drudzy tak i on mógł się uchronić. Ale jako stary żołnierz nie pojmował ucieczki, ani też chciał porzucić stanowiska i powierzonego sobie mienia. A potem!... widok Moskali dodawał mu coraz więcej zapału. Bo wy nie macie wyobrażenia, jak to my tych Moskali nienawidzili.

Więc tedy strzał padał po strzale, szybko a celnie. To sam Szarkowski strzelał. I biada sołdatowi, co mu się dostał pod cel lufy.

Został z nim jeden tylko 17-letni chłopak, ochotnik także nieustraszony, który dowódzcy swego nie chciał opuścić. Szlachetny młodzieniec!... Ten mu broń nabijał i podawał; a broni i amunicyi nie brakowało.

Działa ucichły, a zdumione żołdactwo, chwilowa przejęła trwoga. Lecz się wnet opamiętali, widząc wyraźnie, że naprzeciw tysiąca, jeden tylko broni się miateżnik. Więc nuż szukać wokoło dogodnego przejścia, ze zwykłym złodziejskim sprytem. I znaleźli. I dostali się wreszcie do obozu, nie bez mnogich ofiar, popędzeni przez pieniącego się ze złości dowódzcę.

Cóż mógł uczynić jeden człowiek, choć najwaleczniejszy, naprzeciw takiej zgrai rozjuszonej. Biedny Szarkowski wraz z młodym ochotnikiem, otoczeni zewsząd, dostali się w niewolę. Taką waleczność i odwagę każdy wróg, oficer każdego na świecie wojska poszanowałby, ale nie moskiewski wojownik, carski nastojaszczy służalec.

Obu jeńców związano powrozami jakby bydlęta jakie, i przyprowadzono przed dowódzcę, tryumfem i szyderstwem promieniącego.

Wielki tryumf!... cały pułk nad jednym człowiekiem!... I godziwe w takim razie szyderstwo?

Pierwsze słowa pułkownika Aninkowa były:

— Czemu ty podły suczy synu, nie poddałeś się carskiemu pułkownikowi?...

Szarkowski odpowiedział mu na to z godnością prawdziwie żołnierską:

— Co mnie dzisiaj, to ciebie jutro spotkać może.

Ale gwardyjski pułkownik, miał i na to odpowiedź godną siebie. Przyskoczył do niego na koniu, i sypiąc przekleństwami, których Moskale takie bogactwo posiadają, że ich w tej mierze nikt pewnie nie przegada, dał mu z całej siły policzek.

Był to dla Szarkowskiego cios straszny. Szarkowskiego piersi zdobił krzyż legii honorowej, a w piersiach było uczucie dzielne i prawe. Krew mu wystąpiła na twarz, potem pobladł jak chusta, i spuściwszy głowę, nie wyrzekł ani słowa, aż do męczeńskiego końca swego.

Słuchajcie dalej, bo to nie koniec!... Słuchajcie, byście wiedzieli jakich wrogów macie, i nienawiść do nich chowali aż do ostatniego tchu.

Gdy już byli w obozie, przystąpili do najmilszej zabawki. Zaczęli rabować. Poznoszono na środek ładowane kufry; i nuż je rozbijać. Toż to była rozkosz moskiewska!... toż to się im oczy iskrzyły, gdy zaczęto wydobywać srebrne naczynia, drogie futra, bieliznę, gotowe pieniądze i inne kosztowności. Gwardyjski pułkownik zabrał to wszystko dla siebie. Niewolników miał wprawdzie dwóch tylko; nie wielka to zdobycz naprzeciw takiej wyprawy i strat poniesionych, ale za to miał łupy bogate, za które będzie mógł hulać i huczyć po moskiewsku.

Zaczął więc odwrót z swoim oddziałem, i zwróciwszy do Grodna, szedł w kierunku miasteczka Sopockina. Lecz wojsko strudzone i zgłodniałe nie mogło zdążyć do niego, i stanęło noclegiem o milę drogi w niewielkiej wioseczce.

W karczemnej stajni byli dwaj więźniowie. Co się w ich duszach działo, Bóg to jeden widział, i porachuje im w swej najwyższej sprawiedliwości. Do cierpień moralnych, przybywały niemałe cierpienia fizyczne, bo powrozy krępowały ich nogi i ręce aż do krwi.

Od tej chwili można powiedzieć, rozpoczął się kalwaryjski pochód ostatnich chwil życia nieszczęśliwego i dzielnego Szarkowskiego, tej prawdziwej ofiary miłości ojczyzny.

Za chwilę cisza zaległa karczmę, żołdactwo leżało nieruchome, snem twardym ujęte. Szyldwachy nawet, znużone całodziennym pochodem, oparci o ścianę, z bagnetami w ręku zadrzymali. Kozackie tylko patrole, gdyby cienie snuły się tam dalej pod lasem. Niebo było pogodne, ale wiatr pędził po niem chmury, i księżyc co świecił tej nocy jasno, co chwila ukrywał się po za chmury, tak że kolejno mieniały się jasność z cieniem.

W tej to chwili!... Dziwne są losu zrządzenia!... czyli raczej, dziwne są Opatrzności drogi, któremi ona kieruje losy ludzi. Niezrozumiane są jej wyroki!... nie rozumujmy zatem, jeno się im jako dzieci ojcu poddajmy.

Szarkowski, który bez najmniejszego niebezpieczeństwa mógł wcześnie opuścić obóz, i schronić się przed niewolą, nie uczynił tego. A teraz w ciszy nocnej gdy mu się po głowie tysiączne tłoczyły, myśli, jako one chmury po niebie porwała go niewstrzymana żądza wolności,

Uciec z niewoli!... postanowił koniecznie. Powrozów nie mógł zupełnie rozwiązać, ale ulżywszy ich sobie o ile mógł, korzystał z ciszy powszechnego spoczynku, i jął się czołgać na czworakach, omijając najostrożniej leżących sołdatów, i drzymiących szyldwachów.

Wszystko mu sprzyja, bo w tej chwili właśnie ukrył się księżyc za wielką czarną chmurę i ciemno zupełnie na ziemi.

Już się dostał za wrota karczmy. Ostatnich sił dobywając, czołga się dalej i dalej. Trudna to podróż, ale przy silnej energii posuwa się jakoś. Już się znajduje przed samym lasem. Jeszcze kilka chwil krótkich, kilka natężeń, i już zniknie w gęstwinie lasu.

W tej chwili księżyc dobył się z chmury, i nowa jasność padła na ziemię, i rozświeciła całą okolicę. Kozak na czatach stojący, ockniony światłem z chwilowej drzemki, postrzega coś czołgającego się. Pewien, że to zwierze jakie, przyskoczył doń, i poznaje człowieka. Wpatruje się — i poznał z dziką radością nieszczęsnego więźnia.

Za chwilę Szarkowski nazad do karczmy przywleczony zostaje. Tu się zmienia scena. Za karę szyldwachom pałki rozdać każe pan pułkownik; biedni żołnierze krzyczą w niebogłosy. Gwardyjski pułkownik z oficerami popija czaj, a z więźniem co?... Aninków ma spryt moskiewski, nie darmo car zrobił go pułkownikiem swej przybocznej gwardyi; już mu więzień pewnie nie ucieknie. Skrępowanego jeszcze mocniej, aż do krwi, aż do kości, aż do szpiku prawie, pułkownik kazał przewiesić przez płot, głową w dół. Chwat pan pułkownik!... Wzdrygacie się, nie wierzycie!... prawda to! powiadam wam, święta prawda!... Lecz słuchajcie dalej. A dla większej pewności w koło tak powieszonego, kazał stanąć całej piechocie szeregami. I łyknął gorącego czaju, na wiwat własnemu dowcipowi.

(Dokończenie nastąpi.)

Miłość.

Widzisz tę postać w skrzącej koronie,
Z słońca utkana jej szata —
Nad czołem gwiazda z brylantu płonie —
To **Miłość**, królowa świata!

Polotem myśli i wonnem tchnieniem,
Potęgą swojej świętości,
Wszystkich nas skuwa jednem skinieniem
W złote kajdany **Miłości**.

A my z letargu życia zbudzeni,
Gdy inne już cele mamy —
Gdy prysła czarna opoka cieni,
Miłości serca składamy!

Szczęśliw, kto na tym dwulicnym świe-
Miłość uzyskał prawdziwą, [cie
Kto zręcznie minął podstępne siecie
I toń przepłynął zdradliwą!

Tyś przewodniczką, święta **Miłości**,
Po drodze prawdy i cnoty.
Tyś ideałem całej ludzkości,
Bosko lekarko ciemnoty!

Miłością ludzie myślą i żyją
Z czuciem psychicznej radości,
Gdyż wszystkie skarby, jakie się kryją,
Znaleść możemy w **Miłości**!

Sambor, Galicya 10. 1. 1900.

Adam Wilusz.

W Noc Jesienną.

Drogą rozmiękłą, podobną do błotnistej, grzęskiej rzeki, płynącej wskroś pustych, czarnych pól, szedł pijany chłop.

Wieczór już był zapadł; zimny, rozdeszczony, brudny wieczór listopadowy.

Oślepły świat płakał nieustannym, przenikliwym deszczem, obdarte pola szkliły się nabrzmiałe wilgocią, rowy i bruzdy pełne były wody, a bezlistne drzewa pochylały się nad drogą bezwładnie i drżały z zimna i wilgoci.

Martwa cisza leżała na rozgniłych polach.

Chłop szedł prędko, zataczał się potężnie, potykał, klął, ale szedł; naraz przystanął i pijanym, ochrypłym głosem zaśpiewał:

Oj! dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina;
A jak cię śmierć ułapi,
Oj! poratunku nie ma!
Oj!!!

Ale śpiew nie rozległ się echem, rozmiękł w wilgotnem powietrzu i przepadł w ciemnościach; usłyszał go jednak jakiś cień ludzki, co się wlókł o kilka kroków za chłopem, bo przystanął na mgnienie i trwożnie zsunął się na bok drogi, w cień jeszcze głębszy drzew przydrożnych.

Chłop szedł znowu spiesznie, ale o jakiś kamień czy korzeń potknął się i runął jak kloc w błoto.

Długo nic nie było słychać, prócz monotonnego, nieustannego plusku deszczu i drżącego, nerwowego szmeru drzew.

Aż ów cień przysunął się bliżej i pochylił nad pijakiem.

— Gospodarzu! Gospodarzu! — zaszemrał cichy głos.

Chłop ocknął się, próbował powstać, ale bezwładne nogi i ręce ślizgały mu się po błocie, nie mogąc znaleść punktu oparcia, a że był zupełnie nieprzytomny, nie myślał już i o powstaniu, tylko układał się jak najwygodniej i mruczał przez sen.

— ...Miętko ci tu jest, ciepło ci tu jest, leż se gospodarzu, leż...

— A wstańcie no, toć was tutaj woda zaleje...

— Psiachmać, kiej cię gdryknę kijaszkiem, to obaczysz!... — krzyknął srogo.

— Gospodarzu!

— Mówię ci po dobremu — nie budź kobieto!

— Spiliście się i jak ten wieprzak leżycie w błocie!

— Pijanym! A mówiłem ci żydzie daj okowitki, nie sprytu, a mówiłem; obedrę ci, jucho, pejsy, obaczysz... Cicho bądź, kobieto... kiej gospodarz leży, to mu tak trzeba i tyla, a tobie do tego nić, boś ino kobieta... cicho kobieto... Leż se gospodarzu... parobki za cię zrobią... bydlątka za cię zrobią.. leż se gospodarzu... odpoczywaj...

Ale kobieta nie dała mu odpoczywać w błocie, dotąd nim trzęsła, dotąd go podnosiła, aż oprzytomniał nieco i przy jej pomocy powstał.

— Marcycha! — szepnął, zajrzawszy jej w twarz — Marcycha! — powtórzył już bezwiednie, nacisnął czapkę na czoło, i zataczając się potężnie, ruszył żwawo naprzód, jakby uciekał, i wkrótce nawet odgłos jego kroków rozwiał się w plusku deszczu.

Marcycha pozostała daleko za nim, szła wolno, bo jej drewniane trepy ślizgały się po błocie, i nabierały ciągle wody, że co trochę musiała ją wylewać; szła ciężko, bo jej przemoczone szmaty utrudniały chód. Przyciskała do piersi zawinięte w chustkę dziecko, które popłakiwało z cicha, i zapatrzona w tę noc coraz to głębszą, wlokła się na pół zmartwiała i nieprzytomna.

— Jezu, mój Jezu miłosierny! — wyrwało się jej z piersi i gryząca, straszna żałość wycisnęła z jej oczów strumień gorzkich łez.

Wypłakała już ona tych łez, wypłakała.

Wypłakiwała na ludzi, na świat, na dolę swoją nieszczęsną, na sieroctwo swoje. Sierota była bezdomna, sierota; szła w cały świat, jak te bure chmury, co się ciężko wlokły po niebie, jak ten wilgotny wiatr, co się podnosił z pól i przewiewał bez śladu, jak ta straszna noc listopadowa...

Ani zmiłowania znikąd, ani poratunku od kogo, ani pożalenia.

Wygnała ją dola i rzuciła na zatracenie, a ona za całą obronę łzy miała tylko i ból i jęk, tak właśnie, jak kiedy psiaka ślepego oderwą od suki i porzucą w dół, a on od śmierci broni się żałosnem skomleniem.

— O Jezu! Jezu! — jęczała chwilami.

Ta noc zaczęła ją przejmować trwogą, napróżno upatrywała świateł jakich — nic nigdzie, ciemność niezgłębiona, wsie jakby wymarły, takie ciemne i ciche, nawet psy nie zaszczekały nigdzie, żaden wóz nie zaturkotał, żaden głos ludzki się nie rozległ — grobowa cisza pełna monotonnego szmeru deszczu.

Dziecko zaczęło chlipać żałośnie.

— Cicho robaku... — cicho... — przysiadła pod drzewem, wsadziła dziecku w usta chudą i pustą pierś i zasłuchała się w jakiś daleki, ledwie dosłyszalny szum, jakby wody spadającej.

— Młyn! juści że to młyn! — szepnęła, nasłuchując jeszcze.

Jakaś nadzieja poderwała ją z miejsca, bo się podniosła i szła raźniej, zaczęła dygotać w oczekiwaniu i niepewności.

— Pietruś! Pietruś! — poruszyła ustami. — Nie wypędzi mnie przecie, nie, jakżeby! Myślała i z czułością nagłą przycisnęła dziecko jeszcze silniej do piersi. — Pietruchna!

I zwolna jej zdziczałą od cierpień duszę ogarnęło głębokie rozczulenie; wstawały w niej wiosenne przypomnienia, wyłaniały się z za łez niedoli jasne obrazy przeszłości, a w każdym główną osobą był on Pietruchna!...

Dziecko przeziębnięte i głodne zaczęło znowu płakać!

— Cicho! ty!... — zawarczała, podnosząc rękę do uderzenia.

— Jakżeby? Przecież to jego, — myślała z niepokojem i zaczęła namiętnie całować mokrą twarz dziecka.

Szum był wyraźny, bo już z niego wyłaniał się głuchy turkot koła młyńskiego...

Deszcz wolniał nieco, wiatr się poruszał górą, w gałęziach topoli, co jak szkielety stały z obu stron drogi, chwiały się ciężko i szemrały coś groźnie, a z lasu, co stał czarną ponurą ścianą, zaraz za drogą, rozlegał się smutny, cichy głos, jakby jęk drzew w ciemnościach, jakby płacz dławiony przez noc i przez deszcz. Ogromne chmury, skłębione i pomieszane, zaczęły szybko lecieć po niskiem niebie, jakby w przestrachu.

Strach jakiś przeleciał nad ziemią, strach mocny i zły, aż się zatrzęsła z przerażenia dusza Marcychy. Obrzuciła nieśmiałem spojrzeniem dokoła, nasunęła chustkę głębiej na czoło i z całych sił biegła ku tym coraz bliższym turkotom młyna.

A wiatr się wzmagał, gonił ją, to uderzał w plecy, że aż się pochylała ku ziemi. to zabiegał jej drogę i rzucał w twarz wodę z kałuż, to strząsał na nią drobne gałązki, to tak świstał przeraźliwie koło uszów, aż przystanęła na chwilę, aby złapać nieco tchu.

Ale biegła dalej, bo się bała strasznie, bo te rzędy topoli tak się kołysały nad jej głową, tak coś szemrały do niej, tak czuła nad sobą ich pnie potężne, ich gałęzie strzępiaste, nagie, podobne do szponów, które wyciągały się do niej, chwytały ją za ramiona, zdzierały jej chustkę z głowy, kaleczyły twarz, — że leciała w przerażeniu.

Uspokoiła się dopiero na grobli prowadzącej do młyna.

Młyn stał tak nisko, że jego dachy były na poziomie grobli i stawów, poły-

skujących ponuro w ciemnościach, gąszcz czarnych olch otaczał go dokoła; gąszcz nieprzebyty, w którym huczała i bełkotała woda spadająca z kół.

Ogromny, czarny budynek trząsł się cały i turkotał maszynami.

Zeszła ostrożnie z grobli po spadzistej drodze i weszła do młynicy.

Przypadła zaraz za progiem na jakiś worek z mąką i odpoczywała.

Olbrzymia młynica była pogrążona w tumanie bielma, oślepła... Wiszący u sufitu kaganek, rozkrążał nieco czerwonawego światła, w którem słabo się rysowały rzędy ganków i kontury maszyn.

Wszystko się trzęsło, dygotało, poruszało owiane mączną kurzawą, goniło i pracowało; trzęsła się podłoga oślizgła, trzęsły się białe ściany; trząsł się pułap, od którego zwieszały się omączone nici pajęczyn, trzęsły się długie białe skrzynie — a po za niemi, w głębi szarej, poruszały się automatycznie olbrzymie, czarne koła, przez które z krzykiem przepływał gruby, zielonawy strumień wody i rozwichrzoną, spienioną głową spadał na dół, na ostre pale, aż fundamenta się trzęsły i ziemia jęczała.

Nic słychać nie było oprócz hałaśliwej pracy kamieni młyńskich; czasem tylko z pierwszego piętra rozlegał się przeraźliwy, ostry dźwięk dzwonka, na którego głos wybiegano śpiesznie z izdebki młynarczyka, która stała w jednym kącie młynicy.

Marcycha przysunęła się do niej, usiadła za młynkiem do czyszczenia zboża i czekała cierpliwie.

Bała się wejść do środka, chociaż wyraźnie słyszała głos Pietrusia, bo były tam i głosy jakichś obcych ludzi.

Opuściła ją odwaga, — przywarła do cienkiej ściany i słuchała; co chwila ktoś wybiegał z izdebki, a za nim fala śmiechów, światła i ciepła biła na młyniec.

W izdebce małej i nizkiej gorąco było jak w piecu; na dużym kominie tlił się torf niebieskim płomieniem.

Gromada chłopów siedziała dokoła ognia.

Zapach machorki, torfu i ryb przypiekanych na węglach napełniał izbę.

Pietruś leżał na łóżku, na stosie kożuchów i kpił z pijanego chłopa, który na środku izby kołysał się sennie.

— Idźcie do domu, Mateuszu, bo was baba spierze jak nic.

— Spierze, mnie spierze? gospodarza? nie... Pod pierzynę puści, wódki z tłustością da, albo i czego lepszego....

— Do chliwa to was puści, kiej żeście się tak spili!

— Pijanym to! A mówiłem żydowi, daj okowitki i dała jucha spritu... zedrę za łeb, że niech ręka Boska broni... zedrę... Gospodarz kazał postawić okowitki — to słuchać, a nie to za te pejsy żółte i do wody...

— Michał z kosza schodzi! — zawołał młynarczyk, usłyszawszy dzwonek.

— Młody chłopak podniósł się od ognia i wybiegł, pozostawiwszy drzwi otworem.

Marcycha wsunęła się niemi i stanęła u progu.

— Niech będzie pochwalony... — szepnęła cicho.

Młynarczyk zerwał się z łóżka i krzyknął wściekły:

— Czego? Poszła won ty...!

Dziewczyna zachwiała się, obrzuciła nieprzytomnem spojrzeniem chłopów, rzuciła dziecko na łóżko młynarczyka i wyszła.

— Podarunek dla was, Pietrze — szepnął złośliwie któryś.

— Ładne skrzypki — dorzucił drugi, bo dziecko płakać zaczęło.

— Kto na zwiesne za czem bryka, od tego zimą umyka...

— Weźno który robaka, bo się tam zadusi.

— A juści, ssać mu dajcie, abo co!

Ale któryś wziął i przysunął do ognia, oglądali je wszyscy...

— Ze dwa miesiące ma robak, więcej nie.

— Podobne do was, Pietrze, rychtyk nos kiej kartofel...

— Cię... pomocnika se zrobicie z niego i tyla...

— Abo do służby oddacie, zawsze grosz jaki kapnie...

— Od każdego worka weźmiecie, Pietrze, z kwartę mąki więcej i chłopak się wyżywi, że i cielakowi nie potrza lepiej.

— Tęgo beczy, organistę możecie z niego zrobić, Pietrze, to i honor jest i grosz niezły za wypominki albo i pochowki.

— Jedliście Pietrze miód, spróbujcie teraz wosczyn...

— A i matka galanta, co to... trepy prawie nowe, ze sześć czeskich wartują, kiecka, że i za półtora złotego nie kupisz, a gębę... to i w szaflik nie zmieścisz... frontowa kobita.

— A umyć jeno, a wyczesać, to w sam raz byłaby do palenia w piecach u żydów.

Drwili z niego niemiłosiernie, a on siedział na łóżku i nie wiedział co począć, dławiła go wściekłość, dławił go wstyd, a nie mógł się ruszyć, bo oczy jego przykuwała biała twarz dziecka, które chłopi rozpowili i położyli na trzonie komina i ogrzewali, aż para buchała ze zmoczonych szmatek.

Naraz wskoczył na równe nogi i wybiegł do młynicy.

Wkrótce też rozległy się krzyki dzikie i uderzenia.

— O kochaniu se gadają — zauważył chłop któryś.

— Która to?

— A Marcycha Jantkowa z Woli Drazgowej... Wygnały ją ze służby, wygnały ją z domu... gdzież miała iść?...

— Ho! ho! Pietrek to kat na dziewuchy...

— I... kat... juźci, ale i hycel on też jest i łajdus ostatni...

— Cichocie no — zawołał któryś.

— Pietruś! Pietruś! loboga! Adyć mnie nie bij! — błagała Marcycha, tarzając mu się u nóg. A dyć to twoje... wygnały mnie ze służby... wygnały mnie z chałupy... gdzież pójdę sierota, gdzie? Pietruchna! O Jezus miłosierny, o Jezus! ludzie ratujta, ludzie... Jezus Marya! — ryczała strasznym głosem, bo kopał ją w piersi, że padła na podłogę aż zadudniało, jakby kto worek mąki rzucił.

Przycichło wszystko, słychać było otwieranie drzwi na dwór, szamotanie się jakieś i potem już nic prócz turkotów młyńskich.

— Zabije ją jeszcze...

— Nic jej nie będzie, dziaciaka się pozbyła i tyla!

— Ostawiła dziecko i poszła.

A że płakało coraz mocniej, któryś z chłopów znalazł kawałek cukru na stole młynarczyka, owinął go w szmatkę, zgniótł obcasem, umaczał w wodzie i wsadził dziecku w usta; ssało chciwie.

A Mateusz, który drzemał na łóżku, ocknął się i rzekł:

— Dzieciaka wezmę. Sierota ono, sierota!

— A weźcie, nie macie przecież swoich, że baba was spierze za to, to spierze...

— Spierze?... Nie spierze. Pojazgocze, pohandryczy... dobra kobieta... chodź sieroto... do gospodarza pójdziesz... chodź sieroto — i z nagłem postanowieniem pijaka powstał, obciągnął obłocony kożuch, nacisnął mokrą baranicę na głowę i pochylił się nad dzieckiem.

— Chodź, roboku, chodź... Matki nie masz, ojca nie masz, to już ja ci zrobię gospodarskie opiekuństwo. Chłopak, co?

— Juźci że chłopak...

— Do pasionki się przyda... parobka se będziesz miał, gospodarzu...

— Ino mu pierwej mamkę sprowadź, abo krowę od cielęcia odstaw, żeby go podkarmiła.

— Nie słuchał pokpiwań, okręcił dziecko w przeschnięte szmaty, obwinął w połę kożucha i ostrym, dosyć równym krokiem ruszył z izdebki i tylko trochę szukał wyjścia, ale na powietrzu odrazu się zoryentował i wylazł na groblę z trudem, bo wiatr, który się na dobre rozhulał, ciął go po twarzy i spychał po oślizgłej drodze.

— Ale się wydostał do stawów, skręcił na lewo i ruszył ku wsi.

Człapał po wodzie, bo wiatr wychlustywał wodę ze stawów, że się przelewała przez groblę i biła po nogach grubemi falami...

— Nie piskaj, robaku, nie... mleka dostaniesz, kołyskę ci spletę... dobrze ci u mnie będzie, sieroto, dobrze... i zasługi miał będziesz... i szmatki i koziczek ci kupię na jarmarku... za bydlątkiem se chodził będziesz... albo i za gąskami... nie piskaj, robaku... — mruczał i troskliwie, jak tylko mógł, grabiejącemi z zimna rękami przytrzymywał połę kożucha...

Zamilkł, bo go czkawka dusiła i ostry, zimny wiatr wpychał mu słowa do gardła.

Za groblą droga szła przez torfowiska i bajory okrutne, stare, obdarte brzozy chyliły się nad drogą i krzyczały żałośnie, smagane przez wichurę. Błoto było po kolana. Deszcz już ustał zupełnie, tylko wiatr prześwistywał zimny i hulał po błotach.

Mateusz szedł coraz wolniej, z trudem wyciągał nogi z błota; ciepło z młyna tak go rozmarzyło, że spał prawie, był nieprzytomny... budziło go tylko zimno i wiatr czasami...

Wieś już była niedaleko.

Zataczał się mniej, ale że był sennym, nie wiedział, gdzie idzie, szedł jak automat, czasem macał machinalnie kożuch... dziecko było... nogi mu się plątały, zimno go przenikało do kości, bo rozwarty na piersiach kożuch i przemoczony nie osłaniał od wiatru... puścił połę, zabił po-

tężnie ręce o ramiona i pijanym, sennym głosem zaśpiewał:

Oj, dyna, moja dyna,
Oj! cały świat rodzina,
A! jak cię śmierć ułapi...
Oj! poratunku niema,
Oj!

Odpowiedział mu z błota cichy, przerywany, dławiony krzyk dziecka — i jakieś niedalekie... spieszne kroki...

Nie słyszał nic i ruszył sennie dalej

W. St. Reymont.

Hymn pokoju.

Spokoju święty! ty jesteś jak woda,
Kiedy ją do snu kołysze pogoda,
Zmarszczki by na niej długo szukać trzeba,
A na jej piersi malują się nieba.

Spokoju święty! w zwierciadłach twej wody
Tylko się niebo odbija bez szkody,
Gdy serce wyjdzie z światowych zamieci,
Czyste i czystą nadzieją się zkwieci..

Spokoju święty! ty jesteś jak woda,
Gdy ją kto ustom łaknącego poda,
Straszne gorączki, palące pragnienia
Gasi i w błogie chłody je zamienia.

Spokoju święty! rzeźwią twoje wody,
Tylko gorączki, zbawiennémi chłody,
Gdy dusza ziemskie przebolawszy skwary,
Czystej miłości rozpali ofiary!

Spokoju święty! ty jesteś jak woda,
Kwiat pod nią rośnie, buja trawa młoda,
Gdy upałami przepalona łąka,
Twoją wilgocią spragniona przesiąka.

Spokoju święty! wilżą twoje wody,
Tylko spalone smutki i zawody,
Gdy duch przez nudy przebrnąwszy zwątpienia,
W jasny się dyament wiary rozpromienia.

L. J.

Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXIII.

Następne dni żadnego nie przyniosły wyjaśnienia. Ani prokurator, ani sędzia śledczy nie wykryli nic, co by ich było mogło naprowadzić na jakikolwiekbądź ślad. Że chodziło tu o zbrodnią, o tem wszyscy aż nadto byli przekonani, Aigur wiedział jednak na pewno, że jeżeli mu przypadek nie przyjdzie na pomoc, to nikt prawdy wykryć nie zdoła.

Alfreda badano także, i prokuraror rzekł do niego.

— Nie oskarżyłeś pan wprost Vandala, ale dałeś jasno do zrozumienia, że uważasz go za mordercę Richardera i hrabiego. Myśli tej nie mogłeś powziąść, jeżeli nie miałeś ważnych powodów. Dlatego proszę, mów bez ogródki, na czem opierasz twoje podejrzenie.

Uczyniłbym to chętnie, ale nie mam rzeczywiście żadnych dowodów jego winy, przypuszczam tylko, że on to uczynił. Podpada mi naprzykład bardzo, że wróciwszy do Francyi, zbliżył się zaraz do Richardera pomimo, że powinien go był starannie unikać. Nie zauważyłeś pan wyrazu obłąkania w jego oczach, gdy wyznał, że jest Vandalem?

— Może być, ale rozpacz jest czasem podobną do obłędu.

— Wiem, — odrzekł Alfred wyniośle, — że sędzia nietylko oskarża, ale i broni, nietylko karze winnego, ale opiekuje się niewinnym. Życzę sobie, abym się mylił co do czynów Vandala, pragnąłbym, aby mógł dowieść swej niewinności, w każdym jednak razie osiągnąłbym to, że zbrodniarz został uwięzionym, i cieszę się z tego.

— To prawda! Usiłowania pana zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, — odrzekł Aigur z dziwnym uśmiechem.

Alfred zadrżał, zdawało mu się bowiem, że słowa i uśmiech prokuratora zawierały jakąś groźbę.

— Czy to ma być zarzut jaki? — zapytał śmiało.

— Broń Boże, przyznaj pan tylko, że postępowałeś tak, jak gdybyś chciał pozbyć się największego nieprzyjaciela.

Nędznik czuł, że blednie. Czyżby prokurator przeniknął jego myśli? Alež to było niemożliwem! Zmuszając się więc do spokoju, rzekł znacząco:

— Jeżeli powiedziałem, że sędzia ma obowiązek bronienia oskarżonego, to nie miało to znaczyć, aby opiekował się zbrodniarzem, którego czyn wzbudził grozę w całym ucywilizowanym świecie!

Aigur gniewnie zmarszczył czoło, podczas kiedy Alfred, zadowolony wrażeniem, jakie słowa jego na nim wywarły, mówił spokojnie dalej:

— Nie chciałem pana obrazić, przypominam tylko, że Vandale powinien był zostać natychmiast aresztowanym, po śmierci Richardera, ale pan nie uczyniłeś tego.

— Jakto?

— Kończę już. W gościńcu w Halary dowiedziałeś pan się przecież, że Gordon i Vandale, to jedna osoba!

— Zkąd pan wiesz o tem?

— Siedziałem na ławce przed domem i słyszałem wszystko!

Obydwaj mężczyźni spojrzeli sobie groźnie w oczy. Alfred uśmiechnął się szyderczo, podczas kiedy prokurator zmieszany, spuścił głowę i milczał.

— Nie powiem już ani słowa, — dodał jeszcze Alfred, — sam wiesz bowiem najlepiej, że ściągnąłeś na siebie ciężką odpowiedzialność, jeżeli się okaże, że Vandale zamordował Henryka. Gdybyś wówczas, po śmierci Richardera, kazał był aresztować Vandala, kuzyn mój żyłby dziś jeszcze z pewnością!

Pan Aigur dokładał teraz wszelkich starań, aby sprawę tę wyjaśnić. Rozmawiał często o wszystkiem z Vandalem, który wówczas zwrócił mu uwagę na to, że Richarder nie stracił życia wskutek swej nieostrożności, bo gdyby Vandale był milczał, nie byłby się nikt prawdy dowiedział. Ale doktor przedstawił tak jasno i dokładnie cały ten wypadek, że nie można było ani na chwilę wątpić, że Richarder zginął z ręki mordercy. Gdyby jednak Vandale był owym zbrodniarzem, to nie zwracałby sam na to uwagi prokuratora, o tem też, aby nieszczęśliwy uległ nowemu napadowi obłąkania, nie mogło być mowy.

Tak samo było z śmiercią hrabiego. Doktor opowiadał panu d'Aigur o wszystkiem, co zaszło pomiędzy nim a Henrykiem, to jest, że zmarły zasięgał jego rady tak przed ślubem, jak i po ślubie, i że ostatnim razem upominał hrabiego usilnie, — dodał, — że ktoś sprzeciwiał się umyślnie moim rozporządzeniom, w celu zabicia go.

— Kogo oskarżasz pan o tę zbrodnią? — pytał prokurator.

— Dotychczas nikogo jeszcze, ale skoro tylko namyślę się dokładniej, powiem panu. W ostatnich dniach życia hrabiego, gdy biedny, nie mogąc mówić, leżał bezwładny na łóżku, patrzał nieustannie na mnie, a oczy jego miały wyraz tak błagalny, jak gdyby mnie chciał prosić o coś....

— Nie wiesz pan o co?

— Nie! Może się obawiał hrabiego Alfreda, bo sam Richarder powiadał mi, że Alfred oświadczył się także o rękę jego córki. Alicya jednak czuła wstręt do niego.

Potem opowiadał szczegółowo o owych podejrzeniach, o spotkaniu awanturnika na schodach, o dziwnem jego zachowaniu się podczas choroby Henryka, jako i o tem, że tej nocy, w której hrabia umarł, nie było Alfreda w domu.

— To jest bardzo ważnem, — rzekł prokurator.

— On wie doskonale, że go podejrzywam, dlatego chciał się mnie pozbyć, i oskarżył mnie o zbrodnie, o które ja właściwie chciałem jego oskarżyć. Gdy się dowiedział kim jestem, nie potrzebował się niczego już obawiać.

— Ale dowiedź mi pan, że śmierć hrabiego przyniosła mu jakie korzyści!

— Niestety, nie mogę tego dowieść. Jest to zagadką, której chwilowo rozwiązać nie umiem. Od chwili jednak, w której był u mnie aż do mego przybycia na zamek, musiało tam zajść coś takiego, co go skłoniło do usunięcia Henryka. Gdybym wiedział, co się w tym czasie stało, to byłoby od razu wszystko wyjaśnionem.

— Może być, dopóki przecież tego dowodu nie mamy, dopóty nie mogę uwierzyć, aby Alfred zamordował kuzyna. Jeżeli mu chodziło o pieniądze, to musiał wiedzieć, że z śmiercią Henryka wraca cały majątek do familii Richarderów, ponieważ Henryk umarł bezdzietnie. A więc w interesie jego leżało, aby hrabia był żył jaknajdłużej. Sądzę, że nie on zabił go.

— Więc kto? Helena?

— Nie, i to z tego samego powodu. A zresztą zamordować brata — nie, to być nie może!

— I ja tak sądzę. Helena zresztą, zostanie wkrótce, podług mego zdania, panią Richarder.

— Może być, ale i to jeszcze nie wyjaśnia śmierci hrabiego, który przecież

nie byłby się sprzeciwiał temu małżeństwu.

Vandale milczał i na tem skończyła się rozmowa jego z prokuratorem.

Nazajutrz odwiedził doktora przybrany syn jego, Karol Labert.

— O, ile ty musiałeś wycierpieć, — zawołał Vandale wzruszony, patrząc na bladą i zmienioną twarz młodego oficera.

— Tak, mój ojcze, — odrzekł, - ale wiedz, że nie znam Jana Vandale, i nigdy go znać nie będę. Ja znam tylko szlachetnego, zacnego doktora Gordona, który wyrwał mnie z nędzy, i któremu zawdzięczam wszystko!

— Słowa twoje są prawdziwą dla mnie pociechą. Przyjmuję miłość twoją, bo jestem jej godzien. Co do zbrodni, którą popełniłem, to przyznałem się do niej w dniu mego uwięzienia, i nikt nie może mi jej zarzucać. Ty nie nosisz mego nazwiska, podnieś więc śmiało głowę, a gdybyś pewnego dnia musiał się mnie zaprzeć dla osiągnienia upragnionego celu, to powiedziałbym ci: nie wahaj się — przedewszystkiem chodzi bowiem o twoje szczęście!

— Nie ojcze, nigdy się to nie stanie! Wiem napewno, że nie będziesz przeszkodą mojej miłości i.....

— Tego dziś nie można przewidzieć!

— Przeciwnie!

— Byłoby to wtenczas tylko możliwem, gdybyś już.....

— Tak jest, ojcze!

— A więc w takim razie znajdziesz obok tej, którą kochasz, nowe szczęście, ale znajomości ze mną będziesz się musiał wyprzeć.

— Nie! Ta, którą kocham, wie o wszystkiem! — zawołał Karol w uniesieniu.

— Diaczego nie mówiłeś mi nigdy o tem, że już wybrałeś.....

— Chciałem ci właśnie wyznać moją miłość, gdy owa straszna katastrofa rozdzieliła nas, ojcze.

— Czy znam tę młodą dziewczynę?

— Tak! Jest nią Helena d'Albernon.

Vandale zdawał się niezrozumieć tego nazwiska.

— Co..... co ty mówisz..... Karolu.....

— Helena d'Albernon! — powtórzył Karol przerażony wyrazem twarzy doktora.

— I wyznałeś jej twoją miłość?

— Tak!

— Ale ona — ona nie kocha cię! Nie może cię kochać!

— Przeciwnie ojcze!

— Powiedziała ci sama, że cię kocha?

— O tak! tak!

— Boże! — jęknął Vandale, załamując ręce. — Czemu nie oszczędziłeś mi tego nowego, ciężkiego doświadczenia!

— Co to znaczy? — zawołał Karol. — Cóż masz do zarzucenia Helenie?

— Obawiam się, że... że ona cię nie uszczęśliwi — odrzekł Vandale.

Cóż miał mu innego powiedzieć? Wszakże nie miał żadnych przeciw niej dowodów, a na proste podejrzenia nie zwracałby Karol żadnej uwagi.

— Ależ ona kocha mnie! — powtórzył młodzieniec z zapałem.

— Czy Alfred d'Albernon wie o tem? Bo on jest teraz głową rodziny!

— Zdaje mi się, że nie, ale o to wcale mi nie chodzi. Helena nie zależy od nikogo, a czy kuzyn pochwali jej wybór, czy nie, to jej zupełnie jej obojętnem.

— Może być, ale w każdym razie mam jedną prośbę do ciebie! Idź do Alfreda, powiedz mu, że kochasz Helenę, że posiadasz jej wzajemność, i że pragniesz ją zaślubić. Jeżeli moje... podejrzenia... to jest domysły są słuszne, to otrzymasz odpowiedź, że musisz się wyrzec nadziei uzyskania ręki Heleny, i że ona nigdy żoną twoją nie zostanie!

— Czemu?

— Dowiesz się później wszystkiego!

— Ale co znaczy opór tego człowieka?

— Osądzisz to sam — później!

— Helena nie zastosuje się do jego życzeń.

— Zapytasz jej o to?

— Naturalnie!

— I uwiadomisz mnie o rezultacie waszej rozmowy?

— Natychmiast!

— Wiem też, co ona ci powie: „zapomnij o mnie, bo ja twoją żoną być nie mogę"!

— Ach, to być nie może! Helena kocha mnie!

W tejże chwili wszedł dozórca więzienia. Był to znak, że Karol musi odejść, i zaraz potem pożegnał młodzieniec gorącym, serdecznym uściskiem swego przybranego ojca. Ponieważ zaś trzeba mu było wracać tego dnia jeszcze do Orleanu, przeto upłynął cały tydzień, zanim mógł wypełnić dane przyrzeczenie i udać się do Alfreda. Niespokojny, zmieszany, wyjawił od razu cel swego przybycia i zakończył uroczystem oświadczeniem się o rękę Heleny.

Alfred był bardzo poważny. Nie chciał go zranić i obrazić odmowną odpowiedzią, wiedział bowiem, że z zakochanymi trudna byłaby sprawa.

— Dziękuję panu — rzekł więc uprzejmie — że miałeś zaufanie do mnie, ale jeżeli mam być szczerym, to muszę powiedzieć, że związkowi waszemu dużo rzeczy stoi na przeszkodzie. Najpierw, oboje nie macie majątku, a Helena pragnie używać świata i ma też wszelkie do tego prawa!

— Może być, że dawniej marzyła o świetnem stanowisku i milionach, dziś jednak zmieniła zdanie.

— A potem — mówił Alfred dalej — uwięzienie doktora Gordona...

— Z winy pana — przerwał Karol gwałtownie.

— Gniewasz się pan na mnie, bo jesteś jego przybranym synem. Ale właśnie dlatego, że nazwisko jego jest złączone z ową straszną zbrodnią, nie może Helena zostać żoną pana.

— Ja przecież nazywam się Labart!

— I wyparłbyś się Vandala?

— Nigdy! — odrzekł młody oficer dumnie.

— Bardzo to ładnie, ale każdy, kto zna tę sprawę, powie: Karol Labart nie miał rodziców i został wychowanym przez mordercę! Żałowanoby cię, ale patrzanoby na pana z pewną ciekawością, jak gdyby i twoje ręce zbroczone były krwią, którą Vandale niegdyś przelał. Świat jest niesprawiedliwy! Jakiem więc byłoby życie Heleny noszącej twoje nazwisko! Wątpię, czy dumny jej charakter zniósłby takie upokorzenia! Ale z tem wszystkiem nie daję panu odmownej odpowiedzi, bo Helena sama jest panią swej woli!

— Wiedziałeś pan o naszych zamiarach?

— Nie — skłamał Alfred śmiało — Helena nigdy ze mną o panu nie mówiła.

— Więc zapytam jej stanowczo i...

— W takim razie musisz pan się udać do Pereuse.

— Nie mogę! Zapominasz pan, że po tem co zaszło, pobyt w zamku jest mi niemożliwym.

— Ach, rozumiem. Poślę zatem służącego po nią. Zaczekaj pan tutaj — w przeciągu godziny możemy się spodziewać jej przybycia. Zostawię pana na chwilę samego — napiszę kilka słów do Heleny i wrócę zaraz.

Karol został sam w salonie. Ufność jego w miłość ukochanej nie była teraz już tak niezachwianą, wszakże to, co doktór mówił, sprawdziło się już w połowie: Alfred był przeciwnym ich związkowi! Cóż powie Helena? Czy i ona postąpi tak, jak ojciec przewidywał? Ach, niepewność ta była zabijającą!

Alfred wrócił wkrótce i tak oczekiwali obydwaj w milczeniu przybycia Heleny. Nareszcie, po upływie mniej więcej godziny, otworzono szybko drzwi i młoda dziewczyna stanęła w salonie. Alfred uśmiechnął się szyderczo.

Od dnia uwięzienia Vandala nie widział Karol ukochanej, a pomimo, że dopiero półtora tygodnia minęło od tego czasu, wydawała mu się Helena bardzo zmienioną. Czarna, żałobna suknia uwydatniała bladość jej twarzy, a wielkie, ciemne oczy płonęły, jak w gorączce.

Helena wiedziała, że Alfred kazał aresztować Vandala, i że rzucił na niego podejrzenie co do zamordowania Richardera i Henryka.. Przy tej sposobności usłyszala po raz pierwszy, że brat jej nie umarł śmiercią naturalną, i chociaż nie mogła pojąć, jakim sposobem się to stać mogło,, była jednak pewną, że i tę zbrodnię mógł tylko popełnić Alfred.

— On jest mordercą, — powiedziała sobie z rozpaczą, — a ja jego wspólniczką!

Nienawiść, jaką oddawna już czuła dla kuzyna, wzmagała się teraz do najwyższego stopnia, i jedyną jej myślą było obecnie: zemsta! Dla zemsty chciałaby nawet poświęcić życie, ktore żadnej już dla niej wartości nie miało, wiedziała bowiem, że dopóki Afred żyje, nie pozwoli na związek jej z Karolem.

— Droga Heleno, — zaczął Alfred z znaczącem spojrzeniem, — posłałem po ciebie, bo obecność twoja jest konieczną. Pan Labert wyznał mi, że kocha cię, i że posiada twoją wzajemność.

— Czyżbym się był omylił? — szepnął Karol.

Alfred jednak uprzedził kuzynkę w odpowiedzi.

— Pan Labert, — mówił dalej, — oświadczył się o twoją rękę. Wyjaśniłem mu jednak powody, dla których, podług mego zdania, żoną jego zostać nie możesz. Nie narzucam ci bynajmniej mojej woli, nie zależysz odemnie, ale wyznaję otwarcie, że jestem przeciwnym waszemu małżeństwu.

— Czekam na mój wyrok, — zawołał Karol drżącym głosem.

Przez chwilę przykre zapanowało mil-

czenie, Helena stała z spuszczoną głową, nieruchoma, jak posąg.

— Alfred ma słuszność, — rzekła nareszcie cicho.

— Heleno!

— Nie mogę być żoną pana, nie mogę..... Wiem, że pan mnie kochasz, że doznasz wielkiej przykrości, ale.....

— Mówiłaś mi przecież, że kochasz mnie!

— Tak, ale stosunki zmieniły się i.....

— Ach, więc byłem tylko zabawką dla ciebie! Kłamałaś miłość....

— Nie! Kochałam cię i kocham, musimy się jednak rozstać na zawsze!

— Kłamstwo! Wiem, że zaślubisz innego, że pragniesz tylko majątku! Leon kocha cię także, aby więc dojść do celu, użyłaś mnie dla wzbudzenia w nim zazdrości, teraz zaś, ponieważ jestem ci niepotrzebnym, odrzucasz mnie!

Helena milczała.

Obrażasz pan moją kuzynkę, — odezwał się Alfred, — ale jesteś rozdrażniony, więc wybaczam ci to!

— Nie potrzebuję przebaczenia pana — zawołał Karol w najwyższem uniesieniu.

Alfred uśmiechnął się dobrodusznie. Nie chciał pobudzać Karola do większego jeszcze gniewu, wiedząc, że łatwo mógłby ztąd wyniknąć pojedynek, a on wcale sobie tego nie życzył.

— Nie miałem zamiaru ubliżenia panu — rzekł łagodnie — prosiłbym tylko o zakończenie tej rozmowy przez wzgląd na Helenę.

Więc pomiędzy nami wszystko skończone! — szepnął Karol z rozpaczą.

— Tak! Zapomnij o mnie!

Młoda dziewczyna przycisnęła ręce do czoła i spojrzała na niego, jak nieprzytomna. Potem, nie mówiąc już ani słowa, wyszła z salonu.

Kilka minut później opuścił Karol dom, w którym tak straszny spotkał go cios i udał się natychmiast do Blois, aby opowiedzieć, stosownie do przyrzeczenia, o wszystkiem swemu przybranemu ojcu.

Vandale domyślił się zaraz, z jaką nowiną do niego przychodzi.

— Biedny chłopcze — rzekł, ściskając — go serdecznie. — Widzę, że jesteś ciężko zmartwionym, i że niestety, miałem słuszność!

Karol powtórzył mu dokładnie całą rozmowę z Alfredem i Heleną, a Vandale słuchał uważnie, rozmyślając nieustannie nad tem, czy i o ile jest Hele na wspólniczką swego kuzyna.

— Teraz powiedz mi ojcze — prosił w końcu Karol — na czem opierałeś twoje przypuszczenie, że oboje dadzą mi odmowną odpowiedź!

— Nie mogę, mój synu. Później wyjaśnię ci wszystko! Dziś nie uwierzyłbyś mi może, są to zaś sprawy tak poważne, że...

— Dobrze — szepnął młodzieniec przygnębiony — poczekam cierpliwie Nic gorszego spotkać mnie już nie może.

Tego samego dnia przyszedł znowu prokurator do celi Vandala.

— Małżeństwo Heleny z Leonem Richarder — rzekł doktor — będzie dowodem, iż podejrzenia moje były słusznemi.

— Nie rozumiem tego. Chociażby nawet małżeństwo to przyszło do skutku, to śledztwo nie posunęłoby się ani na krok dalej — odparł pan d'Aigur.

— Kto wie? Zwycięzcy są czasem nieostrożni. O, gdybym był wolnym i gdybym mógł obserwować wszystko, co się teraz w zamku dziać będzie! Czy nie możesz pan nic dla mnie uczynić?

— Niestety, nie! Na drugi tydzień staniesz pan przed sądem przysięgłych...

— Ach, i zostanę zaraz przeprowadzonym do domu karnego, nieprawdaż?

Prokurator zawahał się z odpowiedzią.

— Jedynie Prezydent Rzeczypospolitej ma prawo ułaskawienia — rzekł w końcu wymijająco.

ROZDZIAŁ XXIV.

Na życzenie Alicyi mieszkała Helena stale w zamku Pereuse. Widywała więc ciągle Leona, którego urlop kończył się wkrótce. Za kilka tygodni musiał wracać do swego pułku, a myśl rozłączenia się na długie lata z tą, którą tak gorąco ukochał, straszne mu sprawiała męczarnie. Postanowił więc przed wyjazdem spróbować raz jeszcze szczęścia, zdawało mu się bowiem, że Helena jest teraz przystępniejszą i łaskawszą, niż dotąd.

I tak też było rzeczywiście. Zaraz pa owej ostatniej bytności Karola w Beuron, rzekł do niej Alfred:

— W przeciągu czterech tygodni musisz być żoną Leona! Rób co chcesz, ale ja żądam tego.

Oczy dziewczyny błysnęły groźnie nienawiścią, zapanowała jednak nad sobą, i uśmiechnęła się swobodnie.

— Jestem gotową wypełnić twoje życzenie.

Leon więc, korzystając z pierwszej sposobności, wyznał jej po raz drugi miłość, i ledwie dowierzał swoim uszom, gdy Helena, bez namysłu, przyrzekła mu swoją rękę. Żal jej było oszukiwać szlachetnego tego człowieka, i uczynić go narzędziem swej zemsty. Ale sam Leon będzie musiał pochwalić jej zamiar ukarania nędznika, mordercy Richardera i hrabiego, w tym zaś celu chodziło jej przedewszystkiem o to, aby usunąć wszelkie podejrzenia Alfreda. Wszakże w ostatniej chwili może jeszcze zerwać z Leonem, którego pogarda dla rodziny Albernon zwycięży wszelki żal po stracie narzeczonej.

— Nie żądam niczego więcej, — mówił Leon wzruszony swem szczęściem, — jak tego, abyś mi pozwoliła kochać i ubóstwiać ciebie! Jeżeli nie kochasz mnie teraz tak, jakbym tego pragnął, to z czasem zdobędę sobie twoją miłość, a wtedy będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie!

Helena drżała jak we febrze.

— Jestem podłą! Jestem podłą! — powtarzała w duszy.

Uśmiechała się jednak słodko, a Leon całował jej ręce i układał tysiączne plany na przyszłość.

Ślub ich miał się odbyć za kilka tygodni. Karol dowiedział się naturalnie o tych zaręczynach, i straszna rozpacz opanowała jego serce. Więc Helena kłamała, mówiąc, że go kocha! Widocznie chodziło jej tylko o majątek, on zaś był dla niej igraszką, na którą teraz już nie zważała.

Myśl ta doprowadzała go nieomal do szaleństwa. I zrywał się, chcąc biegnąć do niewiernej, aby ją ukarać, aby pomścić swój ból serdeczny, którego ona stała się powodem. Ile razy mógł dostać urlop, jeździł do Pereuse, a nie mając odwagi wejść do zamku, chodził pod murami parku, wpatrując się uparcie w okna jej pokoju. O, gdyby ją raz jeszcze tylko ujrzał, chociaż zdaleka!

Pewnego wieczora, gdy miotany rozpaczą, zbliżał się znowu do parku, ujrzał przed sobą niespodziewanie Helenę!

Młoda dziewczyna stanęła, jak wryta, twarz jej pokryła się gorącym rumieńcem.

— Ach, nareszcie! — zawołał Karol gwałtownie. — Nareszcie widzę cię! Cieszę się z tego niezmiernie, bo mogę ci raz jeszcze powiedzieć, że kłamałaś nikczemnie, że nie byłaś niczem więcej, jak nędzną komedyantką!

— Karolu!

— Tak! Powtórzę ci to tysiąc razy! Chciałaś wyjść za człowieka bogatego — ja zaś, który byłbym z rozkoszą oddał ostatnią kroplę krwi dla ciebie, byłem zabawką, niczem! Pogardzam tobą!

A gdy Helena milczała, uchwycił silnie jej rękę.

— Odpowiedz mi! — krzyknął z wściekłością. — Czemu nie odpowiadasz?

— Cóż ci mam odpowiedzieć? — szepnęła.

— Przyznaj, że oszukiwałaś mnie!

— Tak!

— Przyznaj, że jesteś podłą, że.....

Ale nagle umilkł przerażony. Helena wyciągnęła ręce, jak gdyby szukała jakiegoś oparcia, potem postąpiła kilka kroków naprzód, i zemdlona, upadła na ziemię.

Karol oprzytomniał natychmiast.

Podniósł zemdloną, zaniósł ją do parku, a potem pobiegł szybko do strumyka, przyniósł w hełmie świeżej wody, i zaczął nacierać czoło i skronie Heleny. Po kilku minutach otworzyła oczy.

— Dziękuję ci Karolu, — szepnęła.

Młody oficer ukłonił się w milczeniu i odszedł. Wieczorem tego dnia jeszcze wyjechał do miasta nie widząc się nawet z Vandalem, i przysięgając sobie w duszy, że nigdy już do Rouches nie wróci.

— Nie chcę zobaczyć Heleny, — myślał z rozpaczą, — na co te męczarnie!

Ale następnego dnia był już znowu w zamku. Pragnął ujrzeć ukochaną chociaż zdaleka, a gdy wszystkie usiłowania jego były daremne, poszedł wprost po Pereuse i żądał widzenia się z Leonem.

Rozmowa ich trwała nie całe dziesięć minut.

ROZDZIAŁ XXV.

Helena tymczasem w strasznej rozpaczy przepędzała ostatnie dni przed ślubem, który miał się odbyć za tydzień. Połowę życia byłaby dała za ów list, który wówczas tak lekkomyślnie dała Alfredowi, wiedziała jednak, że nędznik nie odda go jej dobrowolnie, przemocy zaś użyć nie mogła. Całemi dniami przebywała teraz w Beuron, oddana smutnym myślom, nieprzyjmując nikogo, nawet narzeczonego.

Pewnego razu wbiegł Alfred zmieszany i niespokojny do jej pokoju.

— Wiesz, co się stało? — zawołał.

— Nie. Zkądże miałabym wiedzieć?
— Leon i Karol będą się pojedynkować! Rozumiesz?

— Boże Wielki! — krzyknęła, załamując ręce, — i to ja jestem powodem tego nieszczęścia!

— Tak, bo jeden z nich umrze! Obydwaj są niezmiernie zawzięci — zazdrość, to najgorsze.....

— Kto ci o tem powiedział? — przerwała szybko.

— Leon wezwał mnie na sekundanta, ale odmówiłem. Nie mogę przecież być sekundantem w pojedynku z Karolem, którego ojciec został na moje żądanie aresztowanym. Musiał więc wystarać się o innego.

— Co robić, Boże mój! Co robić?

— Nie wiem. Po raz pierwszy w życiu nie wiem, jak sobie dać rady. Ale pojedynek ten nie może się odbyć, pod żadnym warunkiem! Niechby Leon zginął, to z majątku Richarderów nie otrzymamy ani szeląga.

— Więc.....

— Namyśl się, rób co chcesz, ale musisz pojedynkowi temu przeszkodzić. Kobiety są sprytne, zresztą masz całe cztery dni do namysłu.

Nagle podniosła Helena głowę, a oczy jej błyszczały gorączkowym blaskiem.

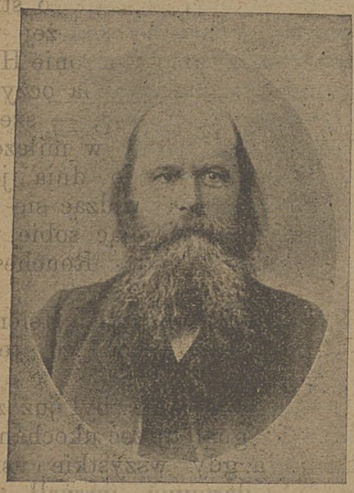
— Już wiem! — rzekła stanowczo. — Pojedynek nie odbędzie się!

— W jaki sposób załatwisz to? — zapytał. — Powiedz mi!

— Nie! Pozwól mi postępować samodzielnie.

— Alfred spojrzał na nią podejrzliwie. Czyżby go chciała zdradzić?

(Dokończenie nastąpi.)



Ś. p. Wincenty Wawrowski

zakończył przed Nowym Rokiem życie w majątku swoim Sławnie w Poznańskiem. Zmarły wielce się zasłużył około społeczeństwa naszego, brał bowiem gorliwy udział niemal we wszystkich pracach społecznych. Wielką stratę poniósł mianowicie Bank Ludowy w Czarnkowie, którego ś. p. Wawrowski był założycielem i długoletnim prezesem rady nadzorczej. Był to obywatel godny, gorący patryota, dobry i wytrawny rolnik, mąż prawy i zacny, ztąd też niepowetowana strata dla Wielkopolski.

„Praca" traci w nieboszczyku gorliwego czytelnika.

Cześć jego pamięci!

Wiadomości.

Szanownym nowym naszym Czytelnikom, oraz starym Zwolennikom i Przyjaciołom „Pracy", pierwszym za zwiększenie szeregów abonentów, drugim za przyczynienie się do tego, mianowicie kochanym Braciom Galicyanom, jak niemniej kochanym Wiarusom w kraju i na obczyźnie składamy staropolskie „Bóg zapłać!"

Wydawnictwo „Pracy."

Prośba. Szanownych Czytelników, zamawiających i odbierających „Pracę" pod opaską, prosimy o dokładne i wyraźnie pisane adresy, z wymienieniem najbliższej stacyi pocztowej, celem ułatwienia przesyłki.

Agenturę „Pracy" na miasto Bydgoszcz i okolicę otworzyliśmy w Bydgoszczy w ekspedycyi „Gazety Bydgoskiej", na co zwracamy baczną uwagę Czytelnikom Bydgoszczy i okolicy. Tamże można zaabonować „Pracę" od każdego czasu.

Każdy kto jeszcze teraz „Pracę" zaabonuje otrzyma wszystkie numery od początku kwartału.

Na fundusz sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego z Paryża do kraju złożył w imieniu Młodzieży poznańskiej p. L. N. na ręce naszej Redakcyi 30 mk.

Dalsze skadki na ten cel chętnie przyjmujemy.

Na nowo urządzony stalowy skarbiec w Banku Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu przy ulicy Wilhelmowskiej 26 zwracamy baczną uwagę Czytelnikom naszym. Bliższe szczegóły podane są w odnośnym inseracie.

Cukiernią i Kawiarnią otworzył dnia 11go b. m. w mieście naszem na Piekarach nr. 7 p. Józef Lewandowicz. Polecamy to nowe przedsiębiorstwo naszego rodaka łaskawym względom naszych Czytelników. — „Szczęść Boże!"

Wszelkie wiadomości o zebraniach Towarzystw i t. p., mające wejść do następnego numeru „Pracy" w dział „Wiadomości", musimy mieć w redakcyi najpóźniej do wtorku rana, gdyż w razie przeciwnym nie bierzemy odpowiedzialności za ich spóźnienie względnie nieuwzględnienie.

Zagadkę i rozwiązanie ostatniej szarady zamieścimy z powodu braku miejsca w następnym numerze.

„Szkółka domowa" (tygodnik dla młodzieży i dzieci) wychodząca pod redakcyą i nakładem pani Heleny Rzepeckiej w Poznaniu, Piekary nr. 7 zasługuje na rzetelne poparcie i jak największe rozpowszechnienie. Prenumerata na kwartał wynosi tylko jedną markę.

Do naszych Towarzystw. Szanownym członkom naszych Towarzystw polecam na nowo bilety Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych w Krakowie.

Jak wiadomo, ma to Towarzystwo na celu budzenie i szerzenie zamiłowania do sztuk pięknych w kraju, oraz moralne i materyalne wspiera ie artystów polskich.

Do osiągnięcia tego celu dąży Towarzystwo także i przez coroczne zakupywanie i rozlosowywanie między swych członków dzieł sztuki pięknej t. j. obrazów.

Do udziału przy losowaniu nabywa prawa każdy, który wykupuje bilet przez Towarzystwo wydany. Zwyczajna cena takiego biletu jest 9 marek. Lecz, aby Towarzystwom naszym w Prusach Zachodnich nabywanie biletów ułatwić, ustanowiono dla tych naszych Towarzystw zniżoną cenę 5 marek. Każdy, który taki bilet wykupi, otrzymuje jeszcze w dodatku obraz jako premię. Tegoroczną premią tworzy reprodukcya obrazu mistrza Matejki: „Bitwa pod Grunwaldem" w tej samej objętości i formie jak zeszłoroczna premia „Hołd Pruski".

Bilety po zniżonej cenie mogą Towarzystwa nasze jedynie u mnie nabyć i to najpóźniej do końca Stycznia.

Proszę uniżenie o jak najliczniejsze i najrychlejsze zamawianie tych biletów.

Do ceny za bilet proszę jeszcze na portorya i na opakowanie obrazu 50 fen. odnośnie 75 fenigów dołączyć.

Z uszanowaniem

Marcin Grzenia,

przewodniczący bióra w Swieciu na Wisłą.

(Schwetz a/W.)

Od komitetu budowy kościołka w Wołąkowcach w Galicyi dochodzi nas następująca odezwa:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

W powiecie Sniatyńskim na południowo-zachodnich kresach kraju polska ludność przerażająco zmalała. Z bolem serca widzimy, że ta garstka naszych rodaków rozrzucona po wsiach daleko od kościoła parafialnego porzuca swój obrządek i mowę, i znika pośród radykalizmu, który tu nadzwyczaj się rozszerzył, i który wydziera ludności to co ma najdroższego i najświętszego: wiarę i język.

Aby zaopiekować się tą garstką, która jeszcze nie odpadła od pnia macierzystego, zawiązał się komitet celem zbudowania we wsi Wołczkowcach kościółka jako przyszłej twierdzi i ostoi naszej świętej wiary i narodowości.

Ponieważ lud tutejszy przeważnie rolniczy jest biednym i niema środków na wzniesienie świątyni, odnosi się przeto podpisany komitet do zacnych braci rodaków z prośbą, aby choćby najdrobniejszymi datkami przyszli z pomocą w dokonaniu tak zbożnego dzieła.

W nadziei, że Szanowni rodacy nie odmówią nam swego poparcia, prosimy o łaskawe przesyłanie datków pod adresem: „Urząd parafialny rz. kat. w Sniatynie“.

Sniatyn, we Wrześniu 1899.

Przewodniczący: Mikołaj Krzysztofowicz, doktor praw, właściciel dóbr i poseł na Sejm krajowy.

Zastępcy: Antoni Moczydłowski inżynier i naczelnik stacyi, ks. Michał Borowy, wikary rz. kt., sekretarz. Zadurowicz Jan, właściciel dóbr. Tytus Niemczewski, burmistrz miasta, skarbnik.

Członkowie komitetu: Balewicz Jan. Berko Antoni, budowniczy miejski. Czerniawski Antoni, gospodarz. Ks. Fischer Jan, proboszcz. Krzysztofowicz Eugeniusz, właściciel dóbr. Moysa Rosochacki Stefan, właściciel dóbr, marszałek powiatu i poseł do Rady państwa. Mroczko Franciszek, Inspektor szkolny. Solski Władysław, sekretarz Rady powiatowej. Zagórski Włodzimierz, właściciel dóbr. Zulauf Juliusz, c. k. Starosta.

Gostyń. Towatzystwo rzemieślników polskich w Gostyniu urządziło w niedzielę dnia 7 b. m. w strzelnicy teatr amatorski. Odegrano z powodzeniem „Łobzowianie“ i „Bursztyny Kasi.“

Z Warmii. Wydział filozoficzny uniwersytetu w Monachium udzielił 3 b. m. ks. Bronisławowi Władysławowi Switalskiemu, synowi Marcina Switalskiego, profesora matematyki w Braniewie, stopień doktora filozofii z predykatem „summa cum laude.“ Ks. Switalski napisał obszerną rozprawę o Chalcydyuszu.

Giessen. Dr. Bronisław Swiderski złożył tu egzamin państwowy na lekarza praktycznego.

Od Redakcyi.

Panu Stanisławowi R. w Poznaniu. — Ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

Pani A. T. (Podlotkowi). — Serdecznie dziękujemy i równocześnie zamieszczamy, prosząc nadal o łaskawą pamięć. Pracę konkursową zamieścimy później.

Panu Teodorowi K. w Poznaniu. — Nie zwracamy, gdyż zamieścimy wkrótce.

Panu Leonowi Feliksowi B. we Lwowie. — Na razie jesteśmy zaopatrzeni — w danym razie przyjęlibyśmy, jeżeli bezinteresownie. W numerze noworocznym było ze „Słowa Polskiego“. Adres: „Dr. Kazimierz Rakowski, Lwów, ulica Łyczakowska 39.“

Panu J. Bar... w Poznaniu. — List przez „Hansę“ nas nie doszedł. Za łaskawie nadesłaną nam ocenę bardzo dziękujemy.

„Wiarusowi“ w Chełmży. — Należy do działu ogłoszeń, prosimy o nadesłanie 3 mk. a zamieścimy.

Panu Józefowi Nowakowi uprzejmie dziękujemy za łask. korespondencyę. Nie mogliśmy jej zużytkować, nie wiedząc, czy przez ogłoszenie podanych faktów nie zaszkodzilibyśmy interesowanym osobom. Prosimy na przyszłość o dokładne oznaczenie, jeśli cośkolwiek nie ma być ogłoszone i spodziewamy się częstych od Pana lisów, z których zawsze chętnie korzystać będziemy. Co do gumy — to znaną nam jest firma: Hannoversche Gummimanufaktur, Hannower.

Panu Władysławowi Cz. w Janówcu. — Notatka, zresztą niedokładna, doszła nas zapóźno, już po wydrukowaniu numeru „Pracy“ na niedzielę dnia 7-go b. m.

„W. S. w D.“ — Z powodu wydalenia dr. Rakowskiego i skutkiem tego zaszłej zmiany w Redakcyi i Administracyi naszego tygodnika odstąpiliśmy od pierwotnego zamiaru, ale da Bóg doczekać, wydamy na rok przyszły.

P. z nad Wrześnicy. — Dziękujemy — zamieścimy w jednym z następnych numerów.

Maryanowi Tworzymirowi. — Bardzo żałujemy, ale zamieścić nie możemy ze względów prasowych.

Panu Feliksowi A. w Witkowie. — „Pracę“ przesyłać będziemy bezpłatnie pod opaską. „Pożegnanie“ i t. d. nadeszło post festum.

Stud. phil. L. Leszczycowi w Gryfii. — Szczęściem nie zaginęły, ale jest wielki nawał materyału, więc prosimy jeszcze o cierpliwość.

M. C. w Kobylepolu. — Nie zamieszczamy z zasady wierszy i artykułów niepodpisanych. Wobec redakcyi zawsze trzeba wystąpić „z otwartą przyłbicą.“

Pani Zofii S. w Itzkanach, Bukowina. — Dziękujemy serdecznie za nadesłane nam adresy i życzliwe słowa.

Cenzorowi oraz pp. F. M. w Inowrocłocławiu, R. G. w G. per B. w Poznańskiem i Romanowi C., słuchaczowi praw we Lwowie. — Wdzięczni Szanownym Panom bardzo jesteśmy za zwrócenie nam uwagi. Owa osoba „strojąca się w cudze piórka“ dostała już należytą odprawę w jednym z poprzednich numerów. Na przyszłość będziemy ostrożniejszymi. — Dzięki serdeczne!

Pani Albertynie E. w T. — Nie spoczął w koszu! Bardzo dziękujemy.

Panu Józefowi Kościesze Kołakowskiemu we Lwowie. — Początek powieści „Wina i pokuta“ już wyczerpany zupełnie. Również nr. 42 i 49 wyczerpane. Do słusznej uwagi zastosujemy się na przyszłość.

Panu Janowi Malejce w Chorzowie. — Nr. 51-szy wyczerpany.

Pani Józefie M. w Z. pod Wojcinem. — Za noworoczne życzenia dziękujemy — wiersz do druku nie nadaje się.

„1900 Poznań.“ — Dziękujemy serdecznie za życzenia i zjednywanie nowych abonentów. — Wiersz zamieścimy.

Panu St. Z. w Grodzisku. — Numera żądane wyczerpane.

X. J. w Poznaniu. Wpierw prosimy o podanie dokładnego adresu i wiarogodnego poświadczenia, że wiadomość nam nadesłana jest prawdziwą, a zrobimy z niej należyty użytek.

Panu J. N. w G. per Tursko. Bank wiadomy możemy sumiennie polecić, gdyż administracya dobra, zabiegliwa i ostrożna, a fundusz rezerwowy wystarczający.

Panu Wincentemu J. w Emanuelssegen. Napisz Pan z odwołaniem się na „Pracę“ pod adresem: „Redakcya Tygodnika illustrowanego w Warszawie, Krakowskie Przedmieście nr. 17.“ Co do książki udaj się Pan po nią do „Gazety Rzemieślniczej w Warszawie, Orla 5, również z odwołaniem się na „Pracę“.

W. S-ki. Bez podpisu, więc do kosza!

Panu Zygmuntowi C. w Krakowie. Za dzielną i skuteczną agitacyę „Bóg zapłać!“ Daj nam Boże jak najwięcej takich „dzielnych Krakusów“ a — zwyciężymy! Nr. 42 już wyczerpany.

Panu Janowi K. w Wągrówcu. Wobec nawału prac konkursowych nie było podobieństwem wszystkich zamieścić.

Panu K. Goździewiczowi w Berlinie. Wyczerpane.

Czytelnikom „Pracy“ w Jarosławiu, Galicya. Żądane numery wysłaliśmy. Co do reszty poinformuje Panów notatka zamieszczona w dzisiejszym numerze „Do Czytelników.“

Humorystyka.

Ja pozuję.

Czytam, wpadam w szał radości,
Portret, portret będę miała!
„Praca“ w całej wysokości
Portret wszystkim obiecała.
Ktokolwiek zaabonuje
„Pracę“ już na wieki całe,
W portrecie swym figuruje,
Szczęście, szczęście to nie małe.
Czytam dalej, lecz cóż stoi!
Ledwie nie mdleję z rozpaczy,
„Praca“ czegoś się tam boi
I naraz tak się tłomaczy:
„Chciałam portret dać wam wielki,
„W piękne farby malowany,
„Ale (chyba to figielki)
„Czasu szkoda, więc nie damy!“
Czasu szkoda? ach nie szkoda,
Cóż, że trochę czasu stracę,
Przecież jestem taka młoda,
A ja kocham, wielbię „Pracę“,
Każdą poniosę ofiarę,
Służąc „Pracy“ na żądanie,
Chętnie przyjmę nawet karę
Za niezrobione zadanie.
A czy warto moją postać
Tak uwiecznić, by w ofierze
Potomności mogła zostać,
Osądź „Praco“ sama szczerze.
Mam piętnasty rok skończony,
Jasne włosy, kibić składną,
Słyszę często na wsze strony
Z cicha, iż ja jestem ładną.
Słyszę: „oczy, jakież oczy“ —
Ja to tylko tak powtarzam —

Nosek zadarty do góry
Jakby śledził coś w lazurze,
Czy to słońce, czy to chmury,
Wszystko jedno, zawsze w górze.
Cóż o liczku mam powiedzieć?
Najlepiej przytoczę zdanie,
Jeżeli „Praca“ chce wiedzieć,
Jak brzmi w Okrężnem śpiewanie:
„Na dziedzińcu wielka burza,
„A panienka kiejby róża.“
„Praco“, widzisz, że i warto
Abonentom dać tę premię,
Pamiątkę tak niezatartą
Twojej pracy, co nie drzemie.
Tylu, tylu wielkich mamy
Mistrzów pędzla sławnych przecie,
Iż im równych nie zdołamy
Znaleźć chyba na wszym świecie.
Nie znasz, „Praco“, Krajewskiego,
Steinmetza, Fałata, Kossaka?
Cóż pozować jest wielkiego?
Czasu szkoda? Mowa taka —
Po raz trzeci zrób naradę,
Za portretem niech głosuje,
Przyjm odemnie dobrą radę,
A bądź pewną, ja pozuję.

A. T. podlotek.

Z Poznańskiego, 10. 1. 1900.

*

Nic słuszniejszego.

Lokator, wyprowadzając się, żąda rachunku od właścicielki pokojów umeblowanych. Zacna, ale snać nie tęga w piśmie niewiasta siedzi długo w swoim pokoju, aż wreszcie przynosi żądany rachunek.

— A to co? — woła lokator, wskazując na niespodziewaną pozycyą.

— Dziesięć fenygów za papier, atrament i gumę.

— Ależ ja tego nie miałem!

— Pan nie, ale ja... do sporządzenia dla pana rachunku...

Jakże chętnie.

Jakże panny chętnie
Zmieniają i skrzętnie
Wiosny czas uniesień
Na... małżeńską jesień!

Miejsce na ogłoszenie zarezerwowane dla firmy:
Piasecki i Synowie w Poznaniu,
Ulica Jezuicka.
Fabryka mebli. 843

Do prania w wodzie źródlanej (twardej) jest bezwarunkowe najodpowiedniejsze

mydło
terpentynowo-salmiakowe

z poznańskiej parowej fabryki mydła

Ludwika Ascha w Starołęce,

które jest zarazem w użyciu najoszczędniejszem. Każdy kawałek nosi zupełne znamię fabryki, na co przy kupnie uważać trzeba. 994

BRACIA PASCHKE,

Największy skład i pracownia w Ostrowie teraz ul. Wrocławska 3,
blizko Rynku i ulicy Kolejowej.



Nr. 29. Rem. ankr. na 15 kam. szczero srebrny z złot. brzeg. 28,00, stalowy (czarny) 22,00 Mr.

Rodacy! udawajcie się z całem zaufaniem, bo to u swego. Niechcąc krzyczeć jak drudzy, że aż w uszach trzeszczy, można się przekonać o rzeczywistości powiększenia naszego kolosalnego interesu. Z powodu korzystnego osobistego zakupna w Szwajcaryi w bardzo wielkich ilościach zegarków z najlepszymi werkami, bardzo tanio, bo za gotówkę, polecamy zegarki mocne i ciężkie w srebrze, regulatory, zegary salonowe, stołowe, ścienne i budziki różnego rodzaju jaknajstaranniej obciągnięte i na minutę uregulowane pod 3 i 5-letnią piśmienną gwarancyą. Nieodpowiednie odbieramy i zwracamy pieniądze. Od teraz już ceny gwiazdkowe.

Srebr. z złot. brzeg. rem. cyl. po 9,50, 10, 11, 12, 13—36 Mr., te same z Matką Bozką po bokach orzełek i pogoń, Papież Leon XIII, Jan Sobieski, z orzełkiem i Kościuszko, każdy ze stósownym napisem, rem. lub klucz, po 12, 13, 14, 15, 16, 18—32 M. Rem. ankr. kryte i niekryte tylko mocne i ciężkie po 18, 20, 21, 24, 28, 30—75 M., ta same złote 45—600 M. Niklowe po 6, 7, 8, 9, 10—30 M. Damskie złote po 16,50, 18, 21, 25—800 M., srebrne z zł. brzeg. i bez po 10,25, 11, 12, 13, 14, 15—60 M. Zeg. używane bardzo dobre po 3,50, 4, 4,50, 5—15 M. Reparacye sumiennie i tanio pod 1 roczną gwarancyą. Wysyłamy choć najdalej p. zaliczkę lub poprzed. nadesł. pieniędzy. Na życzenie do łask. wyboru. Odsprzedającym odp. rabat. Ciągle nadchodzą z wszech stron podz. iż nasze zeg. są nalepsze i najtańsze. Illustr. cenniki darmo i franko. Przy każdem zam. prosimy o dokładny i wyraźny adres. 940

Bracia Paschke, Największy i najrzetelniejszy skład polski.

Łańcuszki nader śliczne i mocne złote, srebr., nikl. i double. Biżuterya najn. złota, srebr. i double po nadspodz. tanich cenach.



Leistungsfähigste
Bayerisch. Zugochsen
aller Rassen
wie:
Rote Voigtländer
Böhmische-
Bayreuther-
Hofer-
Simmenthaler-
Miessbacher-
Uebertäurer (Pinzgauer)
u. gelbe Scheinfelder-
Schecken,

Zucht u. Milchvieh
aller Höhen und Niederungsschläge,
wie der:
Simmenthaler,
Schwyzer,
Ostfriesichen,
Oldenburger,
Altmärker,
Wilstermarsch,
Breitenburger
und **Angler Rasse**

sowie 6—24 Monate alte Kälber dieser Rassen empfiehlt franco jeder Bahnstation 1110

Leopold Engelmann, Weiden, Bayern.
Correspondenz deutsch oder französisch erbeten.

Szanownej Publiczności miasta Poznania i okolicy donoszę uprzejmie, iż z dniem 11-go stycznia r. b. otworzyłem **na Piekarach nr. 7** vis a vis teatru Apollo

cukiernią i kawiarnią

jako też 17

specyalny interes zamówień

na ciasta, torty, baumkucheny i t. d.

Polecając to moje przedsiębiorstwo, nadmieniam, że jestem w możności przez długoletnią praktykę moją we większych miastach oraz i w Berlinie, gdzie miałem sposobność tylko w pierwszorzędnych domach pracować, Szanowną Publiczność pod każdym względem zadowolić.

Wszelkie pieczywo moje będzie tylko na czystem maśle, za co każdego czasu ręczyć będę i upraszam o łaskawe poparcie.

Z wysokim szacunkiem

Józef Lewandowicz.

Skład

stósowny do każdego przedsiębiorstwa, w głównej ulicy, mam od 1-go maja 1900 do wydzierżawienia. 1104

L. Siemianowski w Strzelnie.

Kupujemy

4

wszelkie koniczyny i trawy, seradelę, gorczycę, sporek, rzepik latowy i t. p.

po cenach możliwie najwyższych i prosimy o łaskawe oferty opróbkowane.

Bąkowski & Otmianowski,

handel nasion,

Poznań, ul. Wrocławska Nr. 15.

P. S. Cennik nasz wiosenny wyjdzie w końcu bieżącego miesiąca.

Kupuję gospodarstwa

na parcelacyą w każdej wielkości i płacę gotówką. 11

L. Mikulski

interes parcelacyjny założony od roku 1892 w Inowrocławiu.



Do farbowania siwych lub rudych włosów Kuhna **ekstrakt orzechowy** wolny od trucizny pod gwarancyą (1,50) Kuhna, **pomada Nutin** (1 mr.). Kuhna **ekstrakt orzechowy olejkowy** (50 fen. i 1 mr.) Prawdziwe tylko u Fr. Kuhna, skład perfumów pod koroną, Norymbergia. Tutaj: u M. Loevy'ego, drogerya, pl. Piotra 2 i P. Wolff'a drogerya pl. Wilhelmowski 3.

Piękny

pokój meblowany

o dwóch oknach od frontu, obszerny, z osobnym wchodem, na ożywionej ulicy, przed domem przystanek kolei elektrycznej, jest od każdego czasu do wynajęcia. Oferty zapieczętowane złożyć w eksped. „Pracy" pod znakiem **Z. R. 1900.**

Dom. Osiek

p. Kościan (Kosten)

potrzebuje 1

ogrodowego

samotnego, znającego się na usłudze i

ludzi roboczych

tak samotnych jak żonatych,

kucharki

umiejącej gotować na pański stół.

Pierze

niedarte gęsie pierze funt począwszy od 50 fen., darte gęsie pierze funt po 1, 1,50, 2,50 i 3 mk., kwap gęsi funt po 3 do 4.30 mk. poleca w oczyszczonych, bezpyłnych i uznanych za znakomit. gatunkach specyalny handel pierza

Matzdorff & Zerkowski

8 Poznań, ul. Żydowska 8 naprzeciw ulicy Dominikańskiej.

Prosimy uważać dokładnie na firmę naszą i na numer domu. 1015

Dla Sokołów! koszulka, spodnie i pasek razem za 5,35.

Stałe ceny! **Andrzej Buliński,** Stałe ceny!

Berlin N., Schönhauser Allee Nr. 8.

1084 założony 1878.

Płótna ślązkie i bilefelskie. **Bielizna** dla kobiet, mężczyzn i dzieci własnej fabrykacyi.

Obrusy, serwety, ręczniki, firany, dywany, portyery, kołdry wełniane, dery, towary bawełniane, halki, parasole i parasolki.

Wyprawy ślubne będą jak najakuratniej i najlepiej wykonywane.

Skład

czeskiego pierza

kwapu,

i gotowej pościeli

Schönhauser Alle 182.



Przystanek omnibusowy Stacya kolei elektryczn. Schönhauser Thor.

Warsztat i skład obuwia

dla panów, pań i dzieci

Karola Ptschyody

mistrza szewskiego

Gniezno, ulica Wilhelmowska 14.

Wielki wybór obuwia zimowego wszelkiego rodzaju.

Kalosze! Kalosze! Kalosze!

Specyalność: obuwie dla cierpiących na nogi. Zamówienia na miarę wykonuję skoro i rzetelnie. Wyporządzania odrabiam szybko i zgrabnie.

Zakład palenia kawy Wilda

4% rabatu **Erwin Mewes** 4% rabatu

Ulica Następcy do tronu Nr. 4

poleca na najnowszych patentowanych piecykach

codziennie świeżo paloną kawę

czystą i silną w smaku w naturalny sposób i bez kunsztownych domieszek za funt od 70 fen. do 1,80 mr. 1019

Wielki skład surowej kawy.

Hurtownie. Detalicznie.

Paczka pocztą (10-ciofuntowa) franko.

Mój zakład dentystyczny

istniejący w Poznaniu od r. 1899 znajduje się teraz

przy ul. Wrocławskiej Nr. 18 I. p.

Zęby sztuczne, plomby i t. d.

po cenach nader przystępnych.

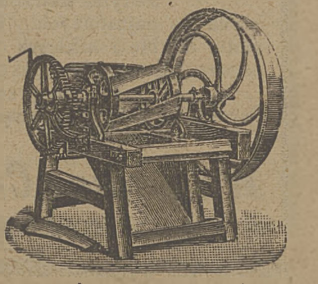
954 Z szacunkiem

M. Kaniasty, technik-dentysta.

Bębenkowe

sieczkarnie

konne i ręczne



z prawnie zastrzeżonemi ulepszeniami **beznaganie chodzące i niedoścignione w swej działalności** wykonuje 998

H. Kriesel,

Tczew (Dirschau W. Pr.)

Specyalna fabryka sieczkarń.

Najlepsze referencye.

Prospekty darmo.

Korespondencya w języku niemieckim.